

Kammena

LUBLIN 14 IX 1980 NR 19 (713)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Z WISŁY POD RYNNĘ

Bronisław Kowalski

Gdyby ten jeden jedyny fragment Wisły udało się projektantom „Programu Wisła” ocalić *au naturel*, bez poprawek w krajobrazie, zasłużyliby na wdzięczność potomnych. Niech resztę zacisną betony stopni wodnych i potężne obwałowania, pał sześć, niech rzeka pracuje planowo, harmonijnie i dynamicznie, byle nie zepsuć tego przełomu przez Pas Wyżyn, gdyż tylko jego urok usprawiedliwia wiślaną mitologię i uprawnia liryczne strofy poetów.

Wojechiech Gielżyński — „Polityka”

TEGO lata złote karpie ukazały się w Wiśle. Ludzie wylawiali je pod Annapolem. Te karpie nie w rzece wzrastaly, lecz w stawach hodowlanych, skąd wypłukała je powódź i dlatego nie śmierdziały na patelniach. Tego też lata powódzie rozcieńczyły ścieki i zdarzały się dni, gdy krowy nadwiślańskie nie odwracały się ze wstrętem od wiślanego napitku, co było ich stałą praktyką. Mogą chłopcy we wsiach nie dostrzec płynącej w rzece trucizny i prowadzić zwierzęta do wodopoju, a one i tak poznają się, czując Wiślanę cuchnie, więc krowy nie mając żadnej wiślanej mitologii, doskonale się rozeznały, co dla rzeki dobre.

jest „Program Wisła”. Oto cele tego programu przedstawione najkrócej:

- stworzenie z rzeki źródła wody dobrej jakości dla miast, przemysłu i rolnictwa,
- regulacja stosunków wodnych w obszarze ok. 100 tys. ha użytków rolnych,
- wykorzystanie Wisły dla potrzeb energetycznych,
- stworzenie drogi wodnej przez 300 dni w roku dla barek o nośności 3,5 tys. ton,
- ochrona przed powodzią,
- rozwój nadzecznej turystyki.

Wojechiech Gielżyński, przemierzysz Wisłę od źródeł niemal do ujścia, proponuje rezygnację z niektórych do-

Według ludzi najlepszy dla Wisły

Dokończenie na str. 4



Fot. W. Stępień

Wpierw myśleć - potem produkować

Stanisław Strelnik

GDYBY wszystkie badania i doświadczenia wykonano przed uruchomieniem taśmowej produkcji elementów — powiedział inż. Stanisław Wrona, zastępca dyrektora ds. spraw techniki i rozwoju w Lubelskim Kombinaście Budowlanym — nie mielibyśmy dziś kłopotów z fabryką domów. Tymczasem stało się inaczej, wytrzymałość płyt z wełny mineralnej okazała się o wiele za małą na ściskanie w stosunku do założeń.

Fabryka domów produkuje — a przynajmniej powinna produkować — wszystkie elementy, z których można złożyć blok mieszkalny. Stąd jej nazwa, chociaż używa się w gronie specjalistów określenia W-70, co odpowiada stosowanej technologii, a więc sposobowi wytwarzania wielkich płyt, elementów stropowych, kabin sanitarnych, windowych i wielu innych. Lubelska Fabryka Domów produkuje w technologii W-70 prawie 300 różnych części budynków mieszkalnych i budyn-

ków towarzyszących przyszłemu osiedlu (łobków, przedszkoli, szkół, placówek handlowych itp.), wykonywanych na kilku niezależnych od siebie ciągach produkcyjnych.

Technologia jest niby bardzo prosta, ale tak to się tylko wydaje, zwłaszcza tym, którzy na budowie widzieli jedynie mieszany w kastrach cement z piaskiem i równo układane przez murarzy cegły. W-70 to produkcja w gruncie rzeczy skomplikowana, ponieważ fabryka oparta jest o procesy zautomatyzowane, o dość złożoną mechanikę oraz różniące się od tradycyjnych materiały i receptury. Najważniejsze zadanie fabryki domów to wytworzenie kompletu elementów całkowicie gotowych do montażu budynków mieszkalnych, tak, aby nie w zasadzie nie trzeba było poprawiać i przerabiać, a tylko montować.

Przyjrzyjmy się temu na przykładzie „wielkiej płyty”. Projektanci z warszawskiego „Biprojektu”: konstruktor inż. R. Góźdź i technolog inż. W.

Staniecki opracowali zasady produkcji dla wszystkich (prawie 170) fabryk domów w kraju, polegające na formowaniu płyt z dwu warstw betonu z warstwą izolacyjną w środku. Pierwsza, 6-centymetrowa, najniższej położona w formie, jest warstwą zewnętrzną, tym, co nazywamy elewacją budynku, przeważnie bardzo gładką, ponieważ styka się z dnem formy. Na niej opiera się warstwa wewnętrzna, izolacyjna, którą stanowi styropian lub wełna mineralna. Dopiero na to wylewa się

Dokończenie na str. 5

Prawda leży zazwyczaj pośrodku. Najczęściej bez nagrobka.

St. J. Lee

z notatnika

6 IX. Trudno notować dzień po dniu. Wydarzenie goni wydarzenie, prasa znikła błyskawicznie. Dziś byłem świadkiem, jak ktoś zadzwonił do redakcji „Sztandaru Ludu” i skarżył się, że kioskarka sporządziła listę czekających na gazetę. Osoba interwenująca znalazła się poza tą listą i odeszła z kwitkiem. Jak wynika z obserwacji, kolejki po prasę były rano i w południe (w południe, bo „Sztandar Ludu” ukazał się z znacznym opóźnieniem) dłuższe niż przed sklepami mięsnymi. Słowo zyskuje w cenie. Ludzie czytają, wieczorami gromadzą się przy telewizorach, przy aparatach radiowych, rozmyślają, dyskutują, nie bez gorczy, a niekiedy śladają i piszą anonimowe listy z myślą, że adresat znajmie się sprawą, która drażni, która budzi społeczny sprzeciw. Na zebraniach w zakładach pracy głosy są już bardziej otwarte, dotyczą poszczególnych ludzi, którzy roztrwonili kapitał udzielonego im zaufania, budując swój prywatny „socjalizm” za nasze wspólne złotówki.

Dziennikarz z „Argumentów” (nr 35) pisał, jak to w ubiegłym roku jadąc autobusem widział rzędy luksusowych willi z basenami. „Czyżby jakiś najazd milionerów?” — dumał. Znany roześmiał się. „Porozmawiaj z moim sąsiadem murarzem — odpowiedział. — On ci wszystko wyjaśni”. „Porozmawiałem — stwierdził dziennikarz. — Okazało się, że wille budowali dyrektorzy i personel kierowniczy pobliskich fabryk z materiałów budowlanych przeznaczonych na potrzeby fabryk, którymi kierowali. Wille stawiali w czasie normalnej pracy członkowie brygad remontowo-budowlanych, wynagrodzenie płacili im fabryka. Dyrektorzy płacili ekstra dodatkowo po 200 złotych za każdy dzień pracy”. „Było całkiem niezłe — chwalił się ów murarz — dyrektorzy podwędzali materiał budowlany ze swoich fabryk, a my też podwędziliśmy tego materiału dyrektorom. Szło żyć!”.

Cytuję „Argumenty” i bynajmniej nie chciałbym uogólniać. Ale w dzisiejszych czasach szczególnie jest nam potrzebna odwaga, rozum i uczciwość. Wczoraj w Sejmie mocno zabrzmiały słowa piosenki Stefana Żeromskiego: „Musimy z całą stanowczością wydać walkę wszystkim (...) pospolitym łajdakom. Czyste ręce — to podstawowy warunek zmian na lepsze w Polsce. I nie chodzi tu o agentów czy o przekupki na bazarach, ale o ludzi czerpiących korzyści ze sprawowania władzy, o ludzi w niezrozumiały sposób wyjętych spod kontroli, bogacących się z niewysokich przeciętnych pensji, ludzi jawnie lekceważących socjalistyczny porządek społeczny. Jest to wrzód, który musi być przecięty...”.

Są ludzie, uważający się za działaczy, mający dotąd zawsze usta pełne sloganów, odpowiednich do sytuacji, którzy mocno okopali się na swoich pozycjach i teraz myślą tylko o tym, aby przetrwać, aby przetrwać. Kiedyś przypadek, lub wdzięczny, wpływowi przyjaciel posadził ich przy biurkach, obdarzył władzą nad większą czy mniejszą grupą pracowników, wśród których wielu miało szersze horyzonty i umiejętności. Co jak co, ale z tej władzy umieli oni korzystać, ułatwiając życie swoim protektorom i tepiąc nawet okrucieństwem krytyki. Teraz mogą liczyć tylko na to, że pamięć jest zawodna. Ze normalizacją będzie oznaczać powrót do stałego...

W warunkach braku równowagi rynkowej, kiedy się nie kupuje, ale „załatwia”, pieczeń z dzika staje się rarytasem, a wiejska kiełbasa bez karmelony ma szczególny, drobny, prezencik, prosto z terenu, zobowiązuje do wdzięczności. Chociażby w postaci przyznania niczym nie uzasadnionej premii wyłożonej przecież nie z własnej kieszeni.

Przejrzałem ostatnio rocznik „Kamieny” z 1971 roku. Człowiek był młodszy, w numerze z 14 lutego tegoż roku potrafiłem napisać:

Błąd staje się błędem, gdy rodzi się jako prawda.
St. J. Lee

Kamena str. 2

„Tak — wielkie słowa lubiliśmy szczególnie. Referaty były wyważone, ażeby braki nie przesłaniały osiągnięć, nawet jeśli przedmiotem obrad miały być właśnie braki. Więc znów — styl. Dodam: styl, który już w zarodku tłumil możliwość krytyki. Utrudniało to dialog kierownictwa z klasą robotniczą, wytwarzało fałszywy obraz sytuacji. Tylek nam tłuszczeniem obrócił — powiedział publicznie w czasie wydziału grudniowych pewien odpowiedzialny towarzysz, nie zdając sobie może sprawy, że trafił w dziesiątkę. Ale żeby to dostrzec — trzeba było przeżyć tragizm tych dni. Tragizm i rozterkę”.

I dalej:
„Nikt sam nie wskakuje na piedestał. Zwykle bywa przez pochlebców na piedestał wpychany. Rozejrzyjmy się po naszych zakładach pracy i uderzmy we własne piersi. Czy do „kultu” niektórych osób nie przyłożyliśmy własnej cegiełki?”

I jeszcze dalej:
„Partia to nie tylko etatowi pracownicy aparatu, ale i aktywni partyjni, ale i tzw. bierni członkowie, którzy wprawdzie rzadko zabierają głos na zebraniach, dostarczają za to może najwięcej dóbr produkcyjnych. Niekiedy odnoszą wrażenie, że bardzo zawężamy na co dzień pojęcie tzw. aktywności partyjnej. Pojęcie, jak i sam aktywny, czyli konkretny człowiek. Ile jest narad, na których widzimy te same twarze? Są to poważnie twarze dyrektorów, kierowników, sekretarzy różnego szczebla (...) Twarzy robotników od produkcji widzi się niewiele...”

Śmiechy mnie, gdy cytuję samego siebie. Ale boli, gdy słowa sprzed lat niecałych dziesięciu w dużej mierze ciągle są aktualne.

Bez krytyki nie ma demokracji. Nie — to już nie ja, ale Zbigniew Reguła w „Gazecie Południowej” z 1 września br. zauważył, że byłoby zbyt dużym uproszczeniem, gdybyśmy kierowali słowa krytyki wyłącznie ku Warszawie. Musi nam starczyć odwagi — cytuję dalej jego słowa — by spojrzeć na siebie, swój styl pracy, tu na szczeblach wojewódzkich, miejskich, zakładów pracy. Jeśli tego nie uczyni się w sposób gruntowny, z poczuciem partyjnej odpowiedzialności, to mówienie o procesach odnowy stać się może wkrótce zwykłym frazesem. Wielu ludziom piastującym kierownicze stanowiska wydaje się, że nadmiar demokracji stanowi tylko utrudnienie w kierowaniu, wydłuża czas podejmowania decyzji, jednym słowem, sprawia wiele kłopotów. Kiedy jednak przychodzi chwila próby, okazuje się, że na dłuższą metę ów demokratyczny styl, mimo że momentami wydaje się uciążliwy, popłaca i to bardzo. Władza to brzmi jakoś abstrakcyjnie, ale przecież w jej trybach działają ludzie z wszystkimi zaletami i ułomnościami. Wtedy, gdy nie ma mechanizmów korygujących, albo gdy one się zacinają i zamijają prawdziwej demokracji, w praktyce funkcjonuje werbalna, wtedy istnieje prawdopodobieństwo, albo prawie pewność, że musi dochodzić do wypaczeń. I tak

stało się w ostatnich czasach. Niestety, pojęcie krytyki zdewaluowało się. Mówiąc i myśląc zaś o tym, jak zaprowadzić prawdziwie demokratyczne stosunki w naszym kraju, nie można obejść się bez krytyki, nie można tej demokracji wdierać, jeśli kultura polityczna pozostawia wiele do życzenia.

Właśnie — kultura polityczna. Przechowuję jako swoisty dokument czasów scenariusz z pewnej konferencji. Prowadzący obrady miał wypisać czarno na białym: „Kto jest za wnioskiem? Dziękuję. Kto jest przeciw? Nie widzę. Kto się wstrzymał? Nie widzę. Przechodzimy wobec tego do punktu następnego. Głos zabierze...”. I tak dalej i tak dalej, łącznie ponad dziesięć stron maszynopisu. Teatr, Spektakl rozpisany na głosy. Niby dla ułatwienia. A w istocie rzeczy znakomity materiał propagandowy dla tych, którzy na wypaczeniach socjalizmu chcieliby ogłuszać sobie dlonie.

„My w partii — mówił sekretarz KW PZPR w Lublinie, Władysław Kruk, zwracając się przy końcu lipca do sekretarzy podstawowych organizacji partyjnych — musimy zadbać o to, aby każdy głos był traktowany z szacunkiem, z powagą. Oczywiście nie każdy, kto zabiera głos, musi mieć rację, gdyż osobista racja nie musi być racją zespołową. Ale nie znaczy, żeby te osobiste racje lekceważyć”.

Doświadczenia sierpnia ukazały, że suma osobistych racji ukształtowała się w rację zespołową. Dlatego tym bardziej o tych osobistych racjach lekceważyć nie wolno. Ani dziś, ani jutro.

Znów wraca popularne niegdyś powiedzenie: odwaga staniała, rozum podrożał. Krytykujemy otwarcie wiele błędów popełnionych w ostatnich pięciu-sześciu latach. Łatwo w takich wypadkach wylać dziecko wraz z wodą po kąpiel. Ale tyle pisało się o tym, by braki nie przesłaniały nam osiągnięć, że pióro publicysty mocno skrzypi, gdy chce się tę myśl wyrazić inaczej. Rzecz w tym, aby nasz potencjał gospodarczy, aby moce produkcyjne naszego przemysłu, pomnożone przecież, zostały w pełni wykorzystane poprzez rozumne działania. Szczególnie uwypuklam tu rolę informacji, która to działanie wzmocni. Informacji, której wszechstronny obieg potrzebny jest tak Polsce, jak krew organizmowi.

Ileż to razy dziennikarz odchodził z kwitkiem! Dyrektor zastanawiał się pismami swego zjednoczenia które jedynie było władne do udzielania wyjaśnień. Ileż to razy dziennikarz był oklamywany, bo dyrektor, jeśli już znosił jakąś krytykę, to „konstruktywną”. I ileż wreszcie razy dziennikarz, kiedy udało mu się poznać choć okrucieństwo prawdy, był przywoływany do porządku przez wielbiciele bamboszy, dla których szczerześć oznepzała rozrabiaństwo.

Jeszcze ostatnio mieliśmy taki wypadek: pewien urzędnik wojewódzki oburzył się kiedy dziennikarz z „Kamieny” zadawał mu ostre pytania na temat protekcji itp. Protekcji, o której wróble ćwierkają. Obawiam się, że niektórzy dziennikarze przyzwyczaili swych rozmówców do gładkich pytań i jeszcze gładziej odpowiedzi. Ale czy to było winą tylko samych dziennikarzy? Myślę, że odpowiedzialność za tego rodzaju wypadki należałoby rozszerzyć.

A jak nazwać fakt, kiedy dziennikarz pisze w superlatywach o swoim „kumpu-dyrektorze”? Dyrektorze, w którego może sobie to czy tamto załatwić? Albo o dyrektorze — kumpu swego zwierzchnika, który za takie czy inne świadczenia chce się w ten swoisty sposób zrewanżować? Cudzymi rękoma. Cudzym piórem. Może być i sytuacja w pewnym sensie odwrotna, kiedy słuszny, sprawdzony tekst nie ukazuje się na łamach, bo jest po prostu niewygodny, łamie pewne towarzyskie układy adiustatora. Albo tego, komu adiustator podlega. Proszę nie podstawić tu konkretnych nazwisk. Jeden wypadek znam znakomicie: niżej podpisany dał się, raz niestety, przekonać, że „dla dobra sprawy” lepiej na pewien temat nie pisać.

Odnowa moralna. Często się mówi o owej odnowie, ale lepiej mniej mówić, a więcej robić. Tylko ludzi dotkniętych, powiedziałbym paraliżem mózgu, niczego nie nauczyły wydarzenia; gorące wydarzenia tego chłodnego lata między Odrą a Bugiem. Na szczęście w partii, w jej kierownictwie byli ludzie, którzy uznali dialog za jedyną, podkreślam — jedyną, formę rozwiązania narzuconego konfliktu. Z jakim wzruszeniem słuchało się słów Mieczysława Jagielskiego, pośła Ziemi Lubelskiej w Gdańsku czy Kazimierza Barcikowskiego w Szczecinie po podpisaniu Porozumień. Ile tam było zarliwości, zaangażowania w przyszłość tej ziemi, na której urodziliśmy się, na której żyjemy i w której spocząć nam przyjdzie. Wielu spośród nas odzwyczaiło się już tak mówić, nauczone nas referować, nauczone nas czytać, jakbyśmy musieli stałe udowadniać, że alfabet nie jest nam obcy. Ba! Bywało, że żądano przedstawienia głosu w dyskusji na piśmie, by później przy słuchaniu drzemać można spokojnie.

Półtora, a może dwa lata temu na naradzie redaktorów naczelnych w Warszawie powiedziałem, że tu, na sali, znajduje się czołowe kierownictwo naszej prasy, lektorzy, agitato-rzy, propagandziści i co się dzieje? Prawie każdy redaktor nie mówi, lecz czyta uprzednio przygotowany tekst. Dodam, że dzisiaj autentyczne zebrania są tylko w gminach. Usłyszałem w podsumowaniu, że „towarzysz Jaworski wygłosił demagogiczne przemówienie”. Zapamiętałem też słowa, które padły tego dnia z mównicy: „Kto krytykuje metody propagandy, krytykuje partię”. Trudno o większe, powiem delikatnie, nieporozumienie.

Jeśli wracam do przeszłości, to wracam tylko po to, aby tu, na łamach, publicznie stwierdzić, że mam pewność, iż tym razem uda się nam wspólnymi siłami zrealizować hasło: Socjalizm — tak, wypaczenia socjalizmu — nie. Jeśli bym tej pewności nie miał, to mógłbym tylko próbować starać się o rentę. Ale wolę już poczekać do emerytury.

O innych ważnych krajowych wydarzeniach nie wspominać. Obawiam się, że i tak się powtarzam. Czytamy, słuchamy, mówimy. Przede wszystkim jednak... Nieczego lepszego nie wymyślę: przede wszystkim pracujmy!

M. A. Jaworski

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski

Redaguje zespół: Maria Bechryc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działy publicystycznej), Bronisław Kowalski, Henryk Pajak (kierownik działy literackiej), Maciej Pódgórski, Waldemar Stepień (korespondent), Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Informacji o warunkach prenumeraty udziela Oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasowego i Wydawnictw, ul. Towarowa 78, 00-956 Warszawa, konto PKO nr 1991-71; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 30 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki w godz. 10-12 i piątki w godz. 14-15.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch”, Kombinat Wydawniczo - Kolportażowy w Lublinie, ul. Jatna 6, tel. 255-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

PL ISSN 0137-7108
Nr indeksu 30251

ROZWOJ społeczno-gospodarczy kraju powoduje konieczność ciągłego doskonalenia działalności państwa socjalistycznego i jego instytucji. W rozumieniu twórców socjalizmu naukowego, demokracja proletariatu stanowiła najwyszą wcielenie idei demokracji, a w swym historycznym rozwoju wiązała się z humanizmem socjalistycznym. Wymaga to podniesienia klasy robotniczej do roli gospodarza kraju, podmiotowi polityki państwa, poszukiwania takich rozwiązań i mechanizmów, które tworzyłyby coraz solidniejsze i pełniejsze gwarancje aktywnego udziału i kontroli ludzi pracy nad funkcjonowaniem aparatu państwa socjalistycznego i gospodarki narodowej. Przyspieszenie procesu włączenia do zarządzania państwem mas pracujących musi łączyć się z jednoczesnym umocnieniem politycznego kierownictwa klasy robotniczej.

Dla prawidłowego funkcjonowania demokracji socjalistycznej, a co za tym idzie prawidłowego spełniania przez partię funkcji politycznego kierownictwa, konieczne jest m. in. silniejsze akcentowanie odrębności organizacyjnej między aparatem państwowym i partyjnym, co ma się wyrażać w różnicowaniu form ich działalności, a także szersze inspirowanie przez partię działalności aparatu państwowego i kontrola jego aktywności. W obecnej sytuacji politycznej szczególnego znaczenia nabiera wychowanie komunistyczne klasy robotniczej oraz doskonalenie metod umacniania kierowniczej roli partii wobec gospodarki socjalistycznej. Wynika to z konieczności zachowania nie tylko równowagi rynkowej (ogólnej i odcinkowej), ale również spójności i równowagi dynamicznej całego systemu społeczno-gospodarczego.

I tak na przykład rola związków zawodowych w umacnianiu demokracji socjalistycznej polega nie tylko na mobilizacji do wykonywania zadań produkcyjnych, ale również na rzetelnym spełnianiu funkcji obrony ludzi pracy m. in. przed biurokracizmem własnego państwa. Postulat ten, akcentowany już swego czasu przez Lenina (Dziela, KiW W-wa 1957, t. 33, s. 186), nie może być w pełni realizowany, jeżeli sam aparat związkowy nie podporządkowuje się masom członkowskim, nie przestrzega jawności życia związkowego. Zasadnicze sprawy nie mogą być ukrywane przed masami członkowskimi lub zastrzeżone do poufnej decyzji wąskiego kręgu działaczy.

Szczególnie niebezpieczną sprawą dla demokracji socjalistycznej jest traktowanie słusznej krytyki błędnych koncepcji i niewłaściwych praktyk poszczególnych organów czy osób jako krytyki wymierzonej w zasady ustroju socjalistycznego.

Istotą socjalistycznych stosunków produkcji jest łącznie użytkownika środków produkcji w interesie całego społeczeństwa z demokratycznym udziałem pracowników w zarządzaniu procesami gospodarczymi. Jeżeli któryś z tych dwóch elementów zostanie nadmiernie ograniczony, to socjalistyczne stosunki ekonomiczne nie realizują się w pełni i powstają sprzeczności pomiędzy interesami indywidualnymi, grupowymi i ogólnospołecznymi, dezintegrujące społeczeństwo i gospodarkę socjalistyczną.

Główna przesłanka pełnego wykorzystania zalet socjalistycznego sposobu produkcji to umocnienie i rozwój centralizmu demokratycznego, którego zadaniem jest harmonijne kojarzenie interesów ogólnospołecznych z interesami załóg produkcyjnych i poszczególnych pracowników. Umocnienie jedności interesów przy całym ich zróżnicowaniu wymaga odrzucenia zarówno zupełnej samodzielności przedsiębiorstw, wywołującej żywiołowe zjawiska społeczno-gospodarcze, jak i absolutnego centralizmu, prowadzącego do dowolnego (woluntarystycznego) administrowania gospodarką.

Centralizm demokratyczny w gospodarce socjalistycznej polega bowiem na zespoleniu, co akcentowano na VIII Zjeździe PZPR, dwóch głównych sił napędowych rozwoju: centralnego kierownictwa państwowego i aktywności produkcyjnej załóg pracowniczych. W miarę rozwoju społeczeństwa socjalistycznego wytwórcy, a więc ludzie pracy, z wykonawcy i przedmiotu procesu produkcji przekształcają się we współgospodarza, w podmiot tego procesu. Udział bezpośrednich wytwórców w zarządzaniu gospodarką staje się możliwy i konieczny. Stąd potrzeba doskonalenia m. in. funkcji i pracy samorządu robotniczego jako organizacyjnej formy udziału załóg w zarządzaniu przedsiębiorstwami, a także samorządu wiejskiego i samorządu mieszkańców.

Istotną rolę w tym zakresie ma do odegrania edukacja ekonomiczna załóg pracowniczych i wzrost kultury politycznej społeczeństwa.

Nadmierna centralizacja systemu planowania i zarządzania, połączona z pełną dyrektywnością decyzji na różnych szczeblach, prowadzi zawsze do paraliżowania aktywności i inicjatywności bezpośrednich wytwórców i kadr kierowniczych przedsiębiorstw, do zaniku kontroli społecznej nad funkcjonowaniem administracji i gospodarki, a w końcu do pozbawienia planu centralnego (narodowego planu społeczno-gospodarczego) jego aktywnej, koordynującej i programującej funkcji. Wszystko to powoduje powstawanie procesów żywiołowych i sprzeczności interesów rozsądających gospodarkę socjalistyczną i własność ogólnospołeczną.

Proces unowocześniania systemu funkcjonowania gospodarki w Polsce zmierza obecnie głównie do podniesienia efektywności gospodarowania, m. in. poprzez przywrócenie zasadzie centralizmu demokratycznego jej właściwego znaczenia. W dziedzinie planowania i zarządzania powinno to przejawiać się w umacnianiu koncepcyjno-strategicznej funkcji planowania centralnego i jednoczesnym rozszerzaniu samodzielności i inicjatywności przedsiębiorstw i ich organizacji nadrzędnych.

Konieczność intensyfikowania dzia-

nych zadań, w coraz większym stopniu rodzi postawę „brzetargową”, utrudniającą pełne i efektywne wykorzystanie zasobów i zdolności produkcyjnych.

Sensem planowania socjalistycznego jest znajdowanie rozwiązań odpowiadających ogólnemu społeczno-ekonomicznemu optimum w dłuższym okresie czasu.

Praktyka planistyczna oparta na niewłaściwych relacjach zachodzących między planowaniem rocznym a planowaniem wieloletnim (5-letnim) wynika z dominacji bieżącego zarządzania. Zmniejsza ona zdolność adaptacji systemu gospodarczego do zmieniających się warunków wewnętrznych i zewnętrznych. Plan roczny orientuje gospodarkę narodową na bieżące pokonywanie wąskich gardeł (przekrojów), a to powoduje odchylenie od strategii wyznaczonej w planie 5-letnim. W takiej sytuacji plan roczny nie spełnia swej roli ani w zakresie realizacji zadań jakościowych, ani w dziedzinie podnoszenia efektywności produkcji. Trzeba jednak przyznać, że mobilizująco-egzekwujące funkcje tego planu mają duże znaczenie w zakresie realizacji zadań ilościowych.

Obecnie istnieje konieczność wydatnego podwyższenia poziomu planowania perspektywicznego i długofalowego prognozowania. Podstawowym instrumentem planowej polityki rozwoju kraju, dającym całej gospodarce

ro-gospodarczym do części zadaniowej, zobowiązującą rząd do zastosowania odpowiednich środków i metod realizacji ustalonych zadań.

Zwiększenie roli programowania perspektywicznego i planowania 5-letniego wymaga również zniesienia pozostałych jeszcze barier organizacyjnych wynikających z ukształtowanych w przeszłości struktur (i partykularyzmów) resortowo-regionalnych. Bariery te utrudniają kompleksowe rozwiązywanie nowych problemów i przyczyniają się do utrwalania dotychczasowej struktury gospodarczej kraju.

Radykalne podniesienie jakości programowania ogólnogospodarczego i opanowanie działalności organizacji gospodarczych na długofalowych i stabilnych planach rozwoju to obecnie zasadnicze zadanie procesu doskonalenia systemu zarządzania gospodarką socjalistyczną w Polsce. W praktyce gospodarczej nie ma jednak pełnej jasności co do tego, jaki konkretny kształt ma przyjąć obecnie i w przyszłości system powiązań między centrum a przedsiębiorstwami. Stąd też częste nawroty do administracyjnego zarządzania gospodarką (przy pomocy li tylko dyrektów).

Demokracja socjalistyczna przejawia się silnie nie tylko w systemie zarządzania, ale również w zasadach i procesie podziału dochodów. Są dziedziny, w których podział dochodu narodowego dokonuje się nie według włożonej pracy, a według potrzeb (podział dezyderatywny). Relacje zachodzące pomiędzy indywidualnym funduszem spożycia (placami), a społecznym funduszem spożycia (świadczeniami nieodpłatnymi), są jednak zmienne i odzwierciedlają pewną prawidłowość. W początkowym okresie budowy socjalizmu silne tendencje do plebejskiego egalitaryzmu powodują szybki wzrost roli i zakresu społecznego (zbiorowego) funduszu spożycia. W okresie przechodzenia do strategii intensywnego rozwoju gospodarki socjalistycznej rośnie znaczenie wydajności pracy i kwalifikacji zawodowych jako czynników wzrostu dochodu narodowego. Umocnia się bodźcowa funkcja płacy robotniczej, a świadczenia socjalne państwa lagodzą w pewnym stopniu sprzeczności między dążeniem do szybkiego podniesienia poziomu życia grup o niskich placach, a koniecznością utrzymania określonej rozpiętości plac, dyktowanej interesem wzrostu produkcji i usług.

Trzeba jednocześnie przyznać, że społeczeństwo nie może zbyt długo tolerować tendencji antyegalitarnych w podziale dochodów. Nie zawsze zresztą znaczne rozpiętości dochodów wynikają z potrzeby pobudzenia wzrostu efektywności gospodarczej, społecznej i innej. I to właśnie zjawisko budzi najwięcej sprzeciwów. Problem mierzenia ilości i jakości pracy nie został jeszcze w pełni rozwiązany na gruncie teorii ekonomii, a w praktyce występuje w tym zakresie wiele nieprawidłowości, niekonsekwencji i żywiołowości.

Niektórzy ekonomiści uważają, że wzrost ogólnego poziomu dobrobytu społecznego umożliwi w dalekiej perspektywie wyrównanie plac. Świadczenia socjalne z czynnika niwelującego różnice w dochodach przekształcą się w czynnik różnicujący udział poszczególnych członków społeczeństwa w ogólnym funduszu spożycia. Udział w podziale dochodu narodowego uzależniony będzie bardziej od różnorodności i intensywności odczuwalnych potrzeb, niż od ilości i jakości wydatkowanej pracy. Dopóki jednak nie osiągniemy takiego etapu rozwoju pracy, który będzie polegał na przekroczeniu motywacji instrumentalno-użytecznej i zastąpieniu jej stosunkiem do pracy jako do wartości samej w sobie, dopóty prawa jednostki do korzystania z dóbr społecznych powinny być uzależnione od jej udziału w procesie wytwarzania lub w innej działalności społecznie użytecznej. Postęp ogólnospołeczny powinien przejawiać się w pomyślności indywidualnej, ale pomyślność indywidualna nie może być osiągnięta bez odpowiedniego wkładu jednostki w pomyślność ogólnospołeczną.

Artykuł został napisany w lutym b.r. po VIII Zjeździe PZPR.

Red.

Z żadnego punktu widzenia nie wolno być ślepym.

St. J. Lec

Przesłanki rozwoju

Romuald Poliński

lności gospodarczej, a szczególnie przyspieszenie postępu naukowo-technicznego, wymaga zastąpienia koncepcji planu centralnego jako szczegółowego programu przez koncepcję planu jako strategii określającej mechanizm działania jednostek gospodarczych. Szczegółowe określanie działalności przedsiębiorstw przez centralnego planistę musi ustąpić programowaniu mechanizmów i instrumentów sterujących tą działalnością.

Plan centralny powinien zatem obejmować tylko te elementy, które — po pierwsze — dotyczą rozwiązań o charakterze kierunkowym i rozwojowym i które nie mogą być wykształcone w mechanizmie samodzielnego decydowania jednostek gospodarczych, po drugie — mają decydujące znaczenie jako przesłanki racjonalnego wyboru na niższych szczeblach i po trzecie — warunkują sprawowanie przez szczebel centralny kontroli nad przebiegiem bieżącej działalności gospodarczej, a głównie nad równowagą rynkowo-pieniężną i bilansu płatniczego.

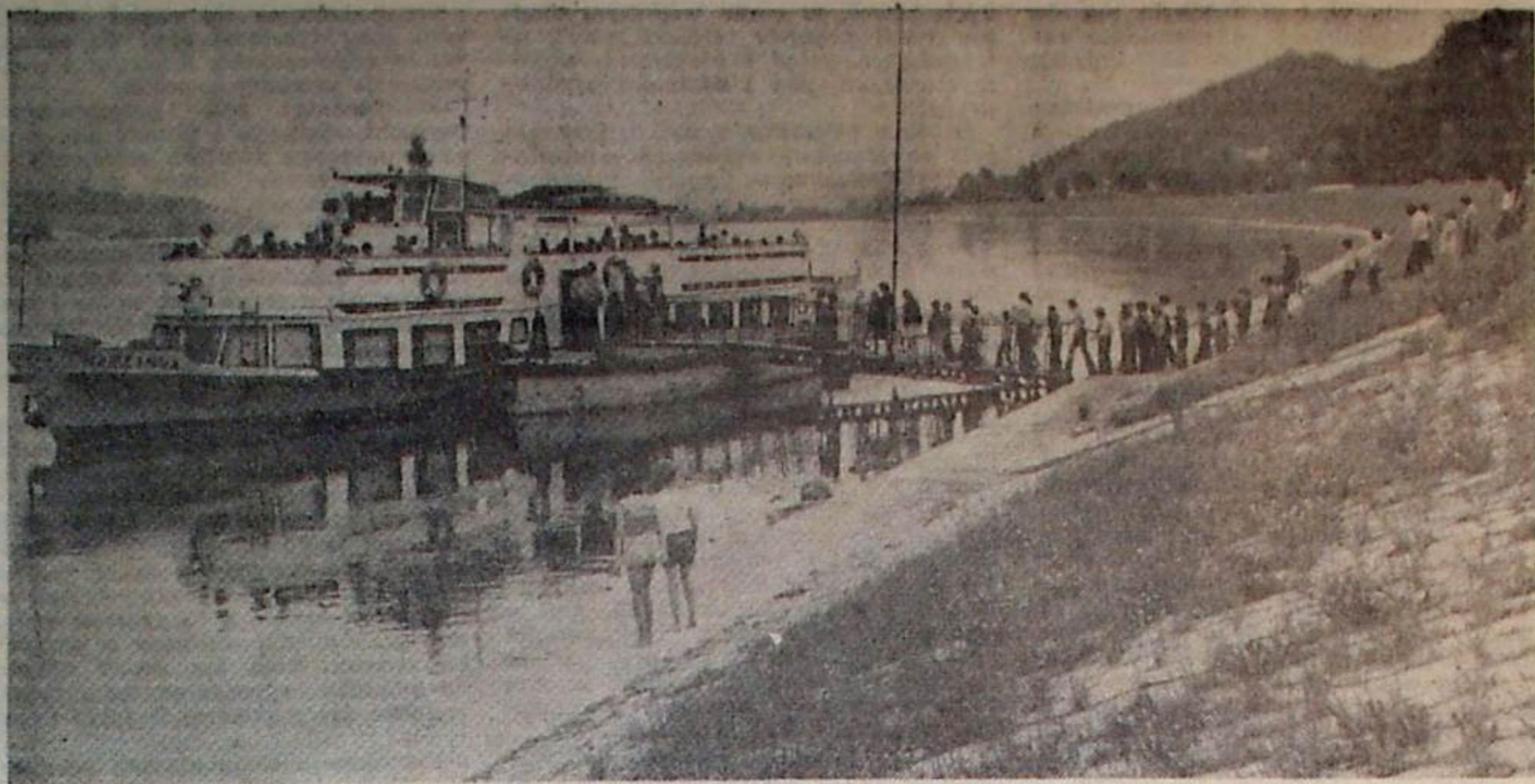
Jeżeli zakres planu centralnego jest zbyt rozległy, przekracza granice „użyteczne”, to centralny aparat planistyczny zajmuje się bieżącym zarządzaniem głównie metodami bezpośredniego oddziaływania. Osłabia to z reguły koncepcyjną rolę centralnego planifikatora (Komisji Planowania), jego funkcję inicjowania i organizowania długofalowych przekształceń gospodarki narodowej. A system centralnego zarządzania przekształca się w rozbudowany system nakazowo-przydziałowy z właściwą mu dominacją zagadnień rozdzielnictwa środków i tendencją do podnoszenia efektywności gospodarowania metodami administracyjnymi.

Jeżeli głównym kryterium oceny działalności organizacji gospodarczych jest wykonanie planu, to już w stadium jego opracowywania powstaje sprzeczność pomiędzy interesami indywidualnymi (i grupowymi) a ogólnospołecznymi. Wyraża się ona w tendencji do przyjmowania przez przedsiębiorstwa, kombinaty i zjednoczenia niskich zadań i zabiegania o jak największe środki (limity). W tych warunkach procedura planowania, zamiast przyczynić się do przyjmowania przez jednostki gospodarcze napiętych (mobilizujących), a jednocześnie real-

nej ogniwom zasadniczą orientację odnośnie celów, działania i środków ich osiągnięcia, powinien być 5-letni plan społeczno-gospodarczy. Zadaniem planu 5-letniego jest rozwiązywanie problemów rozwojowych, tzn. uruchamianie procesów powodujących pożądane zmiany strukturalno-jakościowe w gospodarce narodowej. Właśnie dlatego należy upowszechniać i w dalszym ciągu doskonaląc system ekonomiczno-finansowy przedsiębiorstw i stabilizować warunki ich działania. Idzie tu m. in. o stosowanie wieloletnich normatywnych ekonomiczno-finansowych.

Podniesienie roli planowania 5-letniego w całym systemie kierowania gospodarką oraz zwiększenie samodzielności i odpowiedzialności przedsiębiorstw wymaga poważnych zmian w roli i charakterze planów rocznych oraz wypracowania skutecznych metod i instrumentów kierowania, szczególnie pośredniego. Plan centralny nie powinien spełniać roli mechanizmu egzekwowania od przedsiębiorstw określonych wyników produkcyjnych w krótkim okresie czasu i mobilizacji do optymalnego wykorzystania rezerwy produkcyjnych. Plan centralny powinien określać tempo i kierunki rozwoju gospodarki narodowej w okresach wieloletnich (przekształcenia struktury produkcji, inwestycje o znaczeniu makroekonomicznym, ważniejsze prace badawczo-rozwojowe).

Przy budowie programów długookresowych należy uwzględnić w coraz większym stopniu ryzyko wynikające z niepewności w ocenie przyszłości, a co za tym idzie — tworzyć warunki elastycznego dostosowywania programów do zmieniających się okoliczności (wykorzystanie nowo powstałych zjawisk sprzyjających i amortyzowanie wpływu czynników niekorzystnych). Dlatego też ustalanie zadań planu w części na podstawie hipotetycznych założeń wymaga nowego spojrzenia na tę z niezmienności planu w trakcie jego realizacji. Praktyka gospodarza wykazuje, że nie zawsze bieżąca działalność zgodna z normą prawną (narodowym planem społeczno-gospodarczym uchwalonym przez Sejm) jest w pełni racjonalna z ogólnospołecznego punktu widzenia. W związku z tym niektórzy ekonomiści i planiści proponują ograniczenie treści uchwały sejmowej o narodowym planie społecz-



Fot. W. Stepień

Z WISŁY POD RYNNĘ

(Dokończenie ze str. 1)

brodziejstw przyszłej kaskady Wisły środkowej, a to w celu uratowania mitologii i krajobrazu. Należałoby więc odrzucić zamiar wznoszenia zapór w miejscowościach: Popów, Solec, Zastów Polanowski i Puławy. Zostawić w stanie naturalnym około 80 km rzeki. Jeśli ten wymóg, należałoby zrezygnować z czterech elektrowni wodnych o łącznej mocy 158 megawatów.

Na całej długości Wisły moc wszystkich pozostałych elektrowni wodnych ma wynosić akurat dwanaście razy tyle. Czy stać nas na rezygnację z jednej trzynastej całości? Otóż odpowiedź może być jedynie: oczywiście, że nas stać, gdyż owe 80 km to nie jest jedna któraś-tam część Wisły. To jest część rzeki od Annapola do Puław. Określenie owo ma większy walor niż wyłącznie informacja geograficzna.

W krainie tej wędrowiec z podziwem ogląda wyrysowaną wśród wzgórz historię Polski, spichlerzowy i skalny ślad gigantycznego tańca rzeki, jej szerokiego poloneza, którego każdy krok jest zapisany na białych i zielonych kartach stoków. Nie tylko ogrom rzeki nadaje jej majestatu, lecz przede wszystkim ów ślad przestrzeni historycznej, dziejów świata nadwiślańskiego.

Za Annapolem nagle otwierają się brzozy, wypiętrzane coraz dalej w dolinę i zaczyna się przełom ostrzejszy w dół rzeki wyciosem, który za Józefowem i Kamieniem wrywa z wapiennych stoków rozcięta biel skał. Do Wilkowa i Kazimierza dopływa Wisła wśród lesistych wzgórz i błędzi swą drogą, gestą od zieleni aż do Puław, osiadając w rozległym kantonie, łagodnym nieczym miska ułożonych dłoń; w wodzie plawią się wyspy

napuszone wikliną. Trudno sobie wyobrazić, że ten krajobraz może wyglądać inaczej. A przecież krajobraz to ostatni z tworów natury, jaki można ratować, gdy wszystko inne w niej stracone. Jeśli tutaj powstaną stopnie wodne, zamieni się rzeka w cztery monotonne zbiorniki, zagrodzone zaporami i w rynnę splawnych kanałów. I tak co trzydzieści kilometrów, do następnej zapory, zbiornika itd. Wszystko to supertechniczne, żelazne, energożądne, pracujące — tyle że to nie będzie Wisła.

„Program Wisła” nie jest przedsięwzięciem określonym w planach wyraźnie i ostatecznie. Inwestycje dotychczas na rzecz dokonane wejdą w jego skład, ale ledwie go inicjują, są początkiem początków. Przed planistami lata pracy. Jest więc jeszcze czas, by myślenie nad Wisłą wzbogacić, wyposażając je w elementy humanistyczne. Myśleć trzeba nie tylko o efektach ekonomicznych programu. Bowiem przekształcanie Wisły to nie tylko zaprzęgnięcie rzeki do pracy, to również i przede wszystkim, operacja w sferze wartości kultury narodowej. Z tej perspektywy patrząc, owe 80 km przełomu przez Wyżynę Lubelską jest tak oazowe, że trzeba w dyskusjach wyłączać najbardziej natchnione argumenty, opinie sentymentalne i przerażające ściśle wyobrażenia ekonomistów, hydrotechników i inżynierów rozważania o „duchu” tej rzeki w bycie i charakterze narodu.

Znaczna część przełomu Wisły od Annapola do Puław leży w Kazimierskim Parku Krajobrazowym. Utworzenie parku wynikało z absolutnej konieczności ocalenia piękna tej części regionu lubelskiego. Powstanie parku to jakby pierwszy krok do przeciwdziałania się rozpędzonej cywilizacji, zaślepionej techniką. Pierwszy krok, albo ostatni dzwonek. Jak kto woli.

Czy propozycja reportera „Polityki”, Wojciecha Giełżyńskiego i rozdmuchiwanie postawionego przezeń problemu mają sens? Czy to może być, jak jeden z moich rozmówców powiedział, „marsz przed orkiestrą”? Czy trzeba i czy można ratować przełom Wisły na Lubelszczyźnie?

— To jest rzecz nie budząca najmniejszej wątpliwości — stwierdza

profesor Dominik Fijałkowski, prezes Zarządu Wojewódzkiego Ligi Ochrony Przyrody w Lublinie. — Dolina Wisły jest najpiękniejsza na odcinku Wyżyny Lubelskiej, a właściwie zaczyna się wcześniej, już od Sandomierza. Realizując „Program Wisła”, należy mieć to na względzie i uchronić dolinę przed zniszczeniem lub zniekształceniem. Jej znaczna część wchodzi do strefy ochronnej Kazimierskiego Parku Krajobrazowego. Istnieje więc prawne zabezpieczenie i wykonawcy programu muszą wziąć ten fakt pod uwagę. Ci, którym dobro przyrody leży na sercu, nie mogą ingerować zbyt w podstawowe założenia programu. Wydaje mi się, że musimy pogodzić się z pewnymi stratami, ale chodzi o to, by przy projektowaniu urządzeń nie lokalizować ich w miejscach o wybitnie wysokich walorach krajobrazowych i przyrodniczych.

Profesor Fijałkowski twierdzi autorytatywnie, że w tej części doliny występuje najciekawsza nadwiślańska flora i najciekawsze krajobrazy, zwłaszcza na zboczach nadbrzeżnych wzgórz i na ich wierzchołkach. Są tu wspaniałe wawozy, jakich nie spotkasz w innej strefie Wisły, które trzeba koniecznie zachować.

To jednak, co już teraz wyrabia się nad Wisłą, widzi wyraźniej konserwator przyrody w Muzeum Kazimierza Dolnego mgr inż. Krystyna Bajera. Ostro, z pasją i niemal wojowniczo ocenia dotychczasowe rezultaty istnienia Kazimierskiego Parku.

— Mamy ten park i co z tego? — mówi z rozgoryczeniem. — Wielu się ironicznie uśmiecha i czeka, kiedy się skończy gładzenie o nim. Na przykład ostatnio spychacz przejechał po skarpie ścieżką do Międmierza, poszerzając ją do rozmiarów drogi. Mamy już pisma, że trzeba winnych ukarać za zniszczenia, ale te pisma to jak gadanie dziada do obrazu. Jeśli samowola jednych i nasza bezsilność zalatwi całe nabrzeże Wisły, to nie ma co mówić o ocaleniu krajobrazu. Interesowałam się naszym odcinkiem Wisły, na który wpływ będą miały progi w Puławach i powyżej Janowca. Proponowałam, by rozdzielić nurt rzeki na splawny i niesplawny, by zachować lachy piaszczyste, plaże i

wyspy. Tak się robi na Sekwanie i Dunaju, ale nasi specjaliści od hydrografii wymiali mnie. Podobno u nas jest to technicznie niemożliwe. Ale najważniejsza sprawa to czystość wody. Bo co będzie środkiem Polski płynęło, ściek czy rzeka? Budowa oczyszczalni byta, jest i pewnie będzie pięta achillesową naszą gospodarki. Wybrzeże Gdańskie mamy już zamknięte, bo nie dopatrzono budowy oczyszczalni. A Hełmy ich zbudowali w 35-leciu?

Pani konserwator przyrody nie umie sobie również wyobrazić „przystrojenia” perspektywy na puławski zespół pałacowy konstrukcją betonowej zapory. A dotychczas w ogóle nie spotkała się z opracowaniem zmian krajobrazowych, mówiącym o całej Wisłę, a szczegółowo o parku. No, ale park jest na razie tworem papierowym, gdyż jego zarząd, mający rzadzić od styczenia, dotychczas nawet nie istnieje. Rok minął od uchwały władz wojewódzkich, ale nic się więcej nie stało.

— Nie sądzę też — powiedziała Krystyna Bajera — aby w Hydroprojekcie warszawskim inżynierowie opracowujący drogę wodną na Wisłę w ogóle wiedzieli o istnieniu naszego parku, a jeśli nawet wiedzą, by coś z tego wynikło.

Podczas tegorocznej sesji naukowej w Puławach, dotyczącej Wisły, mówiono o konieczności ratowania krajobrazu, który określono jako fizjonomię środowiska człowieka. Podkreślano, że prawidłowa gospodarka wyraża się harmonijnym krajobrazem, zaś każda nieprawidłowość znajduje odzwierciedlenie w dysharmonii krajobrazu, który stanowi zasób środowiska o szczególnej wartości, trudno odnawialnej.

Witold Rybczyński, kierownik Zakładu Planowania Przestrzennego i Ochrony Środowiska Instytutu Kształtowania Środowiska w Lublinie, stwierdził:

— W dotychczasowych pracach badawczych „Programu Wisła” nie spotkałem pełnej informacji o skutkach zmian w krajobrazie. Należałoby zatem opinię publiczną poinformować, jakie będą te skutki po regulacji Wisły.

Nie ma dotąd mądrego, który powiedziałby, co się stanie. A jak łatwo spartolić robotę, gdy idzie się przeciw wodzie na siłę, niech świadczy fuszerki przy regulacji kazimierskiego Grodarza, straty rolnicze nad kanałem Wieprz-Krzna i inne liczne „niespodzianki”.

Obecną Wisłę da się jeszcze podziwiać. Z okien domku, gdzie mieszczę się w Kazimierzu Nadzór Wodny, widać rzekę jak na dłoni.

— Teraz na brzegach rośnie wiklina, ale z czasem to będzie zalane. Uregulowana Wisła to znaczy wał z jednej i drugiej strony. Zadne drzewa i krzewy nie mogą rosnąć. A najbardziej Wisła jest w stanie dzikim. Z plażami, z łachami złotego piasku, pełna malowniczych zakoli. Z baszty zamku widać daleko, jak piękne są brzozy, ale czy ja wiem, jakie wzięły przeważyć? Wiadomo jednak, że racje ekonomiczne są dla Kazimierza najgorsze.

Tak mówił człowiek praktyczny, kierownik nadzoru, Wojciech Wydra, który twierdził przy tym, że Wisła jest teraz ludzkom mało przydatna, nie w pełni wykorzystana. Dwa statki „Marzanna” i „Odetta”, pływające do Puław i nieliczne barki to jest nic.

— Trzeba ją do pracy zaprząć — orzekł — ujarzmić, ale tak, byśmy zyskali, a nie stracili.

Są też w Kazimierzu wodniacy, pływający od lat po Wisłę. Ci znają każde miejsce, każde ujście dopływów, spędzili niejedno lato na kajakach. Tak pływało wielu, a z nich najgorzalsi: Stefan Potworowski i Zygmunt Madejski. Obaj już starsi wiekiem, życie spędzili na Wisłę i nad Wisłę. Pamiętają rzekę czystą, lepiej zagospodarowane plaże, piękni flisaków na tratwach, statki płynące do Krakowa — piękno dawno minione i trudne do odzyskania.

— Dla mnie Wisła — orzekł pan Madejski — jest pięknym osobnym światem, symbolem ciszy, spokoju i zadumy.

Czy taka sama będzie dla potomnych?

Bronisław Kowalski

Żadamy ośmiogodzinnego dnia myślenia.

St. J. Lee

Kamena str. 4

Nauka z przyszłością

Ireneusz J. Kamiński: — Panie docencie, uczestniczył pan niedawno w XV Międzynarodowym Kongresie Nauk Historycznych w Bukareszcie. Jaki był cel tego spotkania?

Doc. dr hab. Zygmunt Mańkowski: — Chodziło o skonfrontowanie poglądów na wiele odmiennych kwestii, przedstawienie głównych wyników badań historycznych w różnych krajach, sformułowanie tematyki badawczej o znaczeniu, powiedziałbym, globalnym. Mogę stwierdzić, że program ten doznał się w Bukareszcie interesującej i bardzo pożytecznej realizacji, do czego w jakimś stopniu przyczynili się też gospodarze Kongresu, którzy świetnie zorganizowali imprezę.

IJK: — Ile osób brało udział w spotkaniu?

ZM: — Około trzech tysięcy. Najlicniejsza, naturalnie, była delegacja historyków rumuńskich: obejmowała niemal 500 naukowców. Ze Związku Radzieckiego przyjechało prawie 120, a z Polski 60 historyków.

IJK: — Właśnie, jakie ośrodki krajowe reprezentowane były w naszej delegacji?

ZM: — Przeważali pracownicy Polskiej Akademii Nauk. Liczba historyków z uniwersytetów była skromna, ale Lublin prezentował się całkiem dobrze. Dzięki życzliwości władz uczelni do Bukaresztu udały się cztery osoby z UMCS: profesor Józef Szymański, docent Jan Gurba, doktor Mieczysław Wieliczko i ja. Ponadto w Kongresie uczestniczył profesor Zygmunt Sulowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oraz profesor Jerzy Kłoczowski, który będąc także pracownikiem tej uczelni, do Rumunii pojechał z listy PAN.

IJK: — Proszę przedstawić problematykę obrad...

ZM: — W naszej rozmowie mogę ją tylko zasygnalizować, tak była rozległa... W grupie tematów generalnych, referowanych podczas sesji plenarnych Kongresu, chciałbym wskazać na dwa,

które nie tylko mnie wydały się wyjątkowo interesujące. Chodzi o „Federalizm i pluralizm w dziejach” z głównym referatem profesora Juliusza Bardacha i o „Konwergencje cywilizacyjne w Europie”.

IJK: — Ośmielam się zauważyć, że sprawy te legitymują się wielowiekową metryką, ale wcale nie tracą na żywotności, rzekłbym, zwyczajnej, poznanekowej.

ZM: — Ponadto obradowano w licznych komisjach, których nazwy wystarczająco dużo, choć zwięźle, mówią o merytorycznym zakresie rozważań i dyskusji. Działy zatem takie na przykład komisje: antyczna, wieków średnich, historii porównawczej kościołów, rewolucji francuskiej, wojskowości, Afryki, uniwersytetów, wsi, historii II wojny światowej, metodologiczna, w której, że wspomnę, skupiono m. in. uwagę na historii oralnej, mówionej, właściwej nie tylko, jak się okazało, dla Afryki, ale uchwytnej bez trudu również w Europie pod postacią np. pieśni ludowej, czy ustnego przekazu rodzinnego.

IJK: — Kto i w jaki sposób ustalał tematy generalne kongresów?

ZM: — Mieszcząc się w Paryżu Biuro Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych, po porozumieniu się z komitetami narodowymi tej organizacji, która zresztą urządziła kongresy. Warto tu przypomnieć, że na czele polskiego komitetu stoi profesor Stefan Kieniewicz, który przewodniczył też naszej delegacji w Bukareszcie.

IJK: — Pan, o ile wiem, uczestniczył głównie w pracach komisji II wojny światowej.

ZM: — Szczególnie zaś zainteresowało mnie kolokwium na temat propagandy podczas wojny, na którym zasadniczy referat wygłosiła docent Stanisława Lewandowska, autorka znanej książki „Ruch oporu na Podlasiu 1939-1944”. W jej wystąpieniu — „Propaganda przeciwko narodowemu socjalizmowi w okupowanej Polsce” — duże zainteresowanie międzynarodowego audytorium wzbudziła sprawa akcji „N”, czyli polskiej propagandy antyniemieckiej, zresztnie podsytywającej się pod niemiecką. Był to majstersztyk wojny psychologicznej, skuteczny, doprowadzający do wściekłości Himmlera. Warto dodać, że we wspomnianej komisji Polska zawsze była bardzo aktywna, organizując takie na przykład głośne kolokwia, jak: kultura, uniwersytety, przesiedlenia hitlerowskie w Europie, Europa środkowa — podczas II wojny światowej.

IJK: — Czy na Kongresie dochodziło do kontrowersji między marksistami, a wyznawcami innych szkół metodologicznych czy filozofii?

ZM: — Widzi pan, marksizm budził wielkie zainteresowanie w świecie, został zaakceptowany na Zachodzie, w czym nie miała zasługa Polaków, ludzi otwartych wobec świata, skłonnych do podejmowania dialogu. Nasi historycy utrzymują żywe kontakty z naukowcami Europy zachodniej, Ameryki Łacińskiej, Indii, ostatnio — Afryki, podejmując jednocześnie złożone problemy metodologiczne. Na Kongresie spierano się o konkretne kwestie historyczne, a nie o filozoficzne do nich podejście.

IJK: — Panie docencie, jak określiłby pan samopoczucie historii, biorąc pod uwagę wrażenia wyniesione z Kongresu?

ZM: — Jako dobre, a może nawet bardzo dobre. Po pewnym kryzysie w latach sześćdziesiątych, zafascynowanych nowoczesnością technologiczną, historią, jak i pozostałe nauki humanistyczne, przeżywa wyraźny renesans i to we wszystkich krajach. Obserwuje się przy tym podejście interdyscyplinarne, historycy wkraczają na tereny socjologii, psychologii, antropologii, rozwarzstwiają problemy do niedawna obce tej nauce, jak na przykład: „lęki i strachy” czy „granice szaleństwa w dziejach”. Wzłowym

problemem polskich historyków są z kolei „Przemiany struktur społecznych i świadomości w dziejach”. Historia, redaktorze, ma kolosalną przyszłość.

IJK: — Potwierdzają to również poszukiwania korzeni przez amerykańskie grupy etniczne... Przy okazji: czy były jakieś ważne powody zlokalizowania Kongresu w Bukareszcie?

ZM: — Wybór stolicy Rumunii to nie rzecz przypadku, lecz wyjątkowego uwrażliwienia tego kraju na historię. Czy da pan wiarg, że tamtejszy odpowiednik naszego popularnego czasopisma „Mówią wieki” posiada nakład 250 tys. egzemplarzy, czyli ponad osiem razy większy od nakładu polskiego wydawnictwa? My nie dorobiliśmy się jeszcze encyklopedii własnej historiografii, podczas gdy Rumuni wydali taką niedawno...

IJK: — A jak zaprezentowali się historycy Trzeciego Świata na Kongresie?

ZM: — Wydaje mi się, że Bukareszt ostatecznie udowodnił wysoki poziom naukowców z tego obszaru. Bardzo dobrzy okazali się oni, na przykład, w dziedzinie metodologii.

IJK: — Wiadomo już, że Kongres zakończył się polskim sukcesem...

ZM: — Faktycznie, tak bowiem można określić wybór profesora Aleksandra Gieysztor na prezydenta Biura Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych. Dotychczas funkcję tę pełnił Karl Erdmann z RFN, który ustępując wygłosił w Bukareszcie referat pod znamennym tytułem „Ekumenizm historyków”. Konieczność odprężenia politycznego, porozumienia między narodami i postawy ekumenicznej znalazła też wyraz w przesłaniu historyków świata, odczytanym na zakończenie obrad przez prezydenta Gieysztor.

IJK: — Dziękując panu za rozmowę chciałbym na koniec zapytać o miejsce następnego Kongresu...

ZM: — Nie mogę jeszcze odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ o organizację tego spotkania ostro rywalizują z sobą RFN i Wenezuela.

IJK: — Wypada więc zgodzić się z panem, że historią ma przyszłość.

Wpierw myśleć - potem produkować

Dokończenie ze str. 1

beton tworzący warstwę, która jest po prostu ścianą wewnątrz mieszkania. Tylko, że ta ostatnia nie uzyskuje pożądanego równości i trzeba ją zacierać lub wygładzać położeniem dodatkowej warstwy tynku, już po zmontowaniu.

Jednak ta chropowata strona płyty może się doskonale nadawać na fakturę zewnętrzną budynku, natomiast gładka jest wręcz idealna do wnętrza mieszkań. W ten właśnie „odwrotny” sposób zaczęto ostatnio produkować płyty, odstępując od pierwotnych założeń technologicznych. I jeszcze jedno — warstwa chropowata posiada grubość 15 cm i ciężar 400 kg, a więc dość mocno ścisła styropian lub wełnę mineralną, co w praktyce okazało się najbardziej niekorzystnym czynnikiem, ze względu na utratę izolacyjnych właściwości całej płyty.

Wynika z tego, że na etapie projektowania fabryk domów popełniono kilka zasadniczych błędów, z których nie sprawdzając różnych wariantów. Może gdyby to zrobiono, nie byłoby takich kłopotów, jakie wyniknęły już w trakcie budowy mieszkań i potem, gdy błędy wyszły jak sztydło z worka w ciągu pierwszej zimy.

Z Lubelską Fabryką Domów wiązano wiele nadziei, ponieważ w krótkim czasie miała produkować komplety elementów dla 12000 izb rocznie. Ponadto miała ona wymusić lepszą organizację pracy na budowach wielkich lubelskich osiedli mieszkaniowych, w znacznym stopniu wyeliminować nagminnie powtarzające się od lat usterki budowlane i poważnie przyspieszyć oddawanie mieszkań oczekującym ludziom.

Tymczasem już na początku rozruchu w fabryce natknięto się na kilka barier w zaopatrzeniu materiałowym i w samym procesie technologicznym: jednych się spodziewano, inne zaczęły się ujawniać dopiero w gotowych obiektach mieszkalnych. Barierą stało się na przykład zwykłe kruszewo, którego w ziemi pod dostatkiem, ale zawsze mało w wytwórniach betonu, a proces technologiczny fabryki domów przewidywał je w wielkich ilościach i to nie byle jakiej jakości. Zdano sobie też sprawę, że bez odpowiednio przeszkolonych pracowników ten budowlany gigant będzie kuł od samego początku. Z trudem nazywano ludzi, którzy mieli nieco praktyki w starych wytwórniach OWT, ale co innego OWT, a co innego W-70.

Miesiące upłynęły, zanim przyzwyczaili się do rytmu fabryki i do obowiązujących reżimów technologicznych. Te przeszkody stopniowo, acz bardzo wolno, pokonywano i pokonuje się dotychczas.

Najgorsze i trudne do pokonania okazały się bariery ujawnione w czasie budowy bloków mieszkalnych i po ich zasiedleniu. Jak się rzekło „gładkie” ściany wewnątrz mieszkań trzeba było wyrównać dość grubą warstwą tynku — dodatkowa robota i dodatkowa strata materiałów. Miały być równe sufity i podłoga pod wykładziny — okazało się, że i je trzeba wyrównywać, pod lenteks wylewając dodatkową warstwę zaprawy cementowej lub gipsowej, która jednak nie chciała szybko schnąć, a lenteks mokrego nie lubi i zwyczajnie gnije (fachowcy nazywają to korozją biologiczną).

Miało być w mieszkaniach ciepło i cicho — a już pierwsza zima dała się mieszkańcom we znaki, gdy ściany zaczęły przemarzać aż do oszronienia włącznie. Krzyk i lament użytkowników mieszkań dobiegał bez przerwy do przedsiębiorstw, które z takim zapalem rzuciły się na wykorzystanie efektów fabryki domów. Notabene i bez tego specjaliści Kombinatów Budowlanych w Lublinie — inżynierowie Zbigniew Komorek, Jan Chawrylak, Bogusław Borczek oraz Wacław Lepa — zaczęli przemysłować, jak wyjść z opresji, co zrobić, aby wreszcie zyskać z fabryki to, co się miało zyskać: przyspieszenie budownictwa mieszkaniowego, estetykę i trwałość elewacji, wysoka jakość budowanych mieszkań oraz efekty ekonomiczne Kombinatów Budowlanych, który z dobrze prosperującej firmy poszedł, po przejęciu fabryki domów, w dół i to z wieloma kłopotami na plecach.

Wyjdźmy od tego, jak zaczęto przeciwdziałać przemarzaniu płyt zewnętrznych, ponieważ lokator może znieść krzywą i chropowatą ścianę, ale zimna w mieszkaniu nie. Rozwódzić się nie ma potrzeby nad tym co zrobiono z już wybudowanymi mieszkaniem — znaleziono po prostu, drogi bo drogi, sposób na zabezpieczenie ich przed zimą. Chodziło jednak przede wszystkim, by tego w przyszłości uniknąć już na etapie produkcji elementów i montażu bloków.

Zasadniczą wadę wielkiej płyty powodowały produkowane w Trzemesznie płyty „izobet” z wełny mineralnej, które zgodnie w wynikami badań przeprowadzonych przez mgr inż. Ewę Janik i mgr. inż. Stefana Janika („Materiały Budowlane” nr 16 z 1979 r.) powinny się ścieśniać pod ciężarem 400 kg tylko o 8 mm, a w praktyce w

lubelskich płytach wełna mineralna stawała się cieńsza pod takim ciężarem o 3 cm, zaś nawet laikom wiadomo, że materiał izolacyjny pozbawiony powietrza nie trzyma ciepła.

Przewraca się teraz w Lubelskiej Fabryce Domów niemal całą technologią produkcji „wielkiej płyty” do góry nogami, prowadzi się wiele prób i poszukiwań nowych mas tynkarskich. Jest ciągła wojna o kruszywo żwirowo-piaskowe, a nie węglanowe jak dotychczas, inaczej znowu na budowie trzeba będzie elewacje tynkować i ubolewać jak dawniej.

Inż. Kazimierz Rybak (automatyk) opracował urządzenie elektroniczne, które ma czuwać nad temperaturą naparzanla, nad dozowaniem pary itp., ale zdobycie specjalnych układów scalonych, czujników, specjalnych zaworów i innych, często drobnych, detali przekracza możliwości zaopatrzeniowców. I to, co może przynieść wielkie korzyści gospodarce oraz społecznie, staje się pobożnym życzeniem zapaleńców. Jeśli się bowiem pragnie produkować płyty o takiej jakości, jak to sobie ustalono w wyniku odwrócenia form, to temperatura pary nie może wahać się więcej niż 2 st. C w jedną i w drugą stronę.

Owa temperatura nie daje spokoju — takie odniosłem wrażenie — dyrektorującemu w fabryce domów inż. Stanisławowi Kołodziejowi, który jest szczególnie zainteresowany przewracaniem form do góry nogami. I marzy, jak to będzie dobrze, gdy na budowy dostarczy się płyty ściennie i stropowe, przy których nie lub prawie nie robić nie będzie trzeba, tylko montować i dopieścić. Jeśli się oczywiście płyty na budowy dowiezie takimi, jak je wyprodukują. Może trzeba będzie je pakować w folię nieczym prakki czy lodówki i złożyć na placu tak, by nie polamać lub poobijać. O tym sobie marzy nie tylko inż. Kołodziej, ale i wszyscy w Lubelskim Kombinate Budowlanym i chętnie by się wierzyć, że tak właśnie będzie.

Stanisław Strelnik

I brak owoców rodzi fermenty.

St. J. Lee

My lubim pomniki?

Tadeusz Jasiński

OSWOILISMY się z obecnością w Lublinie pomnika Jana Kochanowskiego. Mijamy go od 1951 roku, przechodząc ulicą Narutowicza obok skwerku, nie opodal Muzeum Józefa Czechowicza. Data, którą podałem, może być myląca. W rzeczywistości dzieło to powstało przed 50 laty. Komitet Budowy Pomnika Jana Kochanowskiego rozpisal konkurs zamknięty wśród artystów związanych z warszawską Spółdzielnią Rzeźbiarską „Forma”. I nagrodę zdobył artysta—rzeźbiarz Franciszek Strykowski, wówczas 37-letni asystent Akademii Sztuk Pięknych, po wojnie jej profesor, dwukrotny rektor i laureat nagrody państwowej. Jest m.in. autorem pomników A. Mickiewicza w Gliwicach, gen. K. Świerczewskiego w Jabłonkach, Ofiar Obozu Zagłady w Treblince.

Pomnik postanowiono zbudować — jak wynika z akt znajdujących się w dziale zbiorów specjalnych Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego — w miejscu śmierci wielkiego poety, na rynku przed Trybunałem, gdzie właśnie Kochanowski zmarł [...], i w ten sposób zaznaczyć, że Lublin, który za czasów Kochanowskiego był jednym z bardziej żywotnych ognisk polskiej kultury, pamięta o tej swojej świetnej przeszłości i ma ambicję podtrzymywania tych tradycji. [...] Wybrany tutaj Komitet zajęł się już wyłącznie tą jedną sprawą, podzielił acę między siebie i zabierze się sparko do pracy. Sekcja [...] zdecydowano utworzyć trzy: finansową, propagandową i artystyczną. Za kilka miesięcy, gdy zawrzały dyskusje nad celowością budowy, kiedy tzw. opinia społeczna osądzała projekty, skład tej ostatniej sekcji poddany został krytyce, bo za wielu w nim architektów, a żadnego plastyka, co zresztą nie było pełną prawdą.

Do sekcji owej wchodził: Leon Koc — pułkownik sztabu generalnego, Jerzy Remer — konserwator generalny,

JM ks. Józef Kruszyński — rektor KUL, Wojciech Jastrzębowski — dyrektor departamentu w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, prof. Mieczysław Popławski, ks. dr Ludwik Zalewski, artysta-plastyk Wiktor Ziółkowski oraz inżynierowie: Stanisław Piotrowski, Bohdan Kelles-Krauze, Jerzy Siennicki i Ignacy Kędzierski jako przewodniczący. Do jury poproszono profesorów z warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych — Tadeusza Breyera i Karola Stryjeńskiego, a ze strony Komitetu dra Jastrzębowski i trzech ostatnich inżynierów.

Rad i pouczeń nie szczędzono organizatorom w miejscowych gazetach, które stale towarzyszyły sprawie, czyniąc szum wielki i nierządno szermując bombastycznym i bogoojczyźnianym frazesem tamtych czasów.

Trzeba było jednak szukać rozwiązań dobrych, a równocześnie najtańszych. Nawet stałe nadruki na blankietach Zarządu Telegrafów z tego czasu wciąż przypominały naszym społeczeństwu o sytuacji ekonomicznej. U ich dołu można było przeczytać hasła: Kupując wyroby krajowe, zmniejszacie bezrobocie kraju. Albo: Pracuj wydajnie, oszczędzaj i kupuj wyroby krajowe. Były to lata narastającego kryzysu w całej Europie i USA. Publicysta „Głosu Lubelskiego”, zaplądony dyskusją na jednym z posiedzeń Komitetu Budowy, odpowiadał przeciwnikom inicjatywy:

Ala może, niejedną zarzucił, po co mamy budować pomniki, czy nas na to stać, czy to komuś na coś się zda. Można odpowiedzieć, a czyż to tradycja życia kulturalnego nie jest warta, czy piękno miasta tak ubogiego w pomniki, których stawiać mu nie pozwolono, na tem nie zyska, a czy to źle będzie, jeżeli zarobi cokolwiek polski artysta, kamieniarz, murarz czy jaki robotnik, czyż stawiając taki pomnik, nie damy kawałka chleba choć na chwilę kilku przynajmniej jedno-

stkom. Przecież przy budowie pomnika najważniejszą pozycją są nie wydatki na materiał, z którego on będzie zbudowany, lecz na pracę kogoś, a tej pracy tak czasem mało.

Jeszcze po dwóch latach prezes Komitetu Budowy dr Zygmunt Kukulski w tym samym „Głosie”, na trzy tygodnie przed ostatecznym odsłonięciem, odpięra w podobny sposób ataki przeciwników: Ludzie przyzwyczajli się do materialistycznego traktowania wszelkich spraw [...]. Budowa pomnika wydawała się im: w dzisiejszych ciężkich czasach jakimś nadzwyczajnym luksusem. Zapominają, że przy budowie zarabiają robotnicy, kopalnia, firma, która buduje pomnik, no i przymierający głodem artysta, który też musi z czegoś żyć.

Tymczasem „Ziemia Lubelska” weale nie pokpiwała, pisząc: Komitet, a w szczególności jego komisja finansowa, staje obecnie przed wzięciem zadaniem zebrania odpowiednich funduszy. Kiedy po kilku miesiącach sytuacja staje się dramatyczna, dziennik ten 18 maja 1930 roku wstydił: Od nas zależy, aby Lublin, związany z poetą przez smutny moment jego zgonu, nie był gorszy od wsi, miast i miasteczek prowincjonalnych, spieszących z oddaniem holdu poecie i groszem, nawet dziecięcym, na budowę jego pomnika tu właśnie w Lublinie. Niechże więc Lublin wykaże swą cześć dla nieśmiertelnego poety i nie da się nikomu wyprzedzić w gotowości widomej pamiętki jego w murach Lublina. Datki napływały przede wszystkim ze szkół, bo sprawie patronowało lubelskie kuratorium, były to pięciogroszowe nierzadko składki od dziecka, ale to właśnie działwa i jej wychowawcy zebrali w końcu 14208 zło-

tych, czyli dwie trzecie całości funduszy. W protokołach czytamy: Społeczeństwo starsze reaguje słabo, szczególnie obojętnie zachowuje się ziemiaństwo. Cukrownie również zwracają listy ofiar bez ofiar, lub też z ofiarami bardzo małe. Ostatecznie, razem z dotacją ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (1500 zł) oraz pomocą magistratu, zebrano łącznie 21 940 zł i 4 grosze. W pierwotnych planach Komitet zamierzał zebrać 50 tys. zł. Pod wpływem oczywistej obojętności posiadających, zredukował swoje plany do połowy. Publicysta „Głosu Lubelskiego” w tym czasie perorował, jakby mu nie było wiadome o kłopotach fiskalnych społeczników chcących coś uczynić dla pamięci lirnika z Czarnolasu:

Jaki winien być pomnik: figuralny czy architektoniczny. Wszystko przemawia za tem, by miasto ubogie w pomniki własne wystawiło figuralny. Niech kosztuje 100.000, ale niech trwa jak kolumna Zygmunta, jak pomnik ks. Józefa!

Tymczasem groziła niewypłacalność, upadek inicjatywy i kompromitacja uczciwych w tej sprawie ludzi. Wpierw spory popłoch sprawiła kilkunastozłowa notatka w miesięczniku „Sztuki Piękne”, którą po miesiącu znalazł dziennikarz „Ziemi Lubelskiej” i zacytował. Lublin ówczesny nie byłby Lublinem, gdyby tymi kilku linijkami, płynącymi ze stołecznego czasopisma, się nie przejął. Zresztą dziś, po 50 latach... nie bywa inaczej. Wiedzano już na pewno: Zaden projekt, rozciągający formę pomnika w postaci modernistycznych brył z mało widocznymi płaskorzeźbami, nie da nikomu

DZIENNIK AMERYKAŃSKI (VII)

TROPEM „BRACTWA ŚWIĘTEGO ŁUKASZA”

Ireneusz J. Kamiński

UPLYNĘŁY już trzy tygodnie, zadamowilem się prawie w Nowym Jorku, mam już „swoją” knajpkę, gdzie jadam lunch i za filiżankę herbaty płacę tylko dolara, jak starego znajomego pozdrawiam smutny tercet mieszany w składzie: biały, wysoki i kędzierzawy chłopak, gruba podstarzała Murzynka, podniszczona albinoska, który to zespół od dłuższego czasu leży na trotuarze, w miejscu, gdzie znajduje się wylot kanału wentylacyjnego, zamknięty kratą. Jeśli wiatr ostrzej wieje Manhattanem, garną się oni do siebie, obie kobiety otulają niemal chłopca swoimi ciałami, widać, że on właśnie jest tu najważniejszy. W cieplejsze dni ten związek rozluźnia się, Murzynka wsłuchuje się w teksty, które sama klepie jak kołatka, albinoska wysoko zadziera kcięk i wyciska różowe wrzody, straszonymi rabatkami kwitnące na jej udach, biały chłopak patrzy, jak zwykle, przed siebie, a oczy ma zamglone, niewidzące dookoła świata, zbudowanego z betonu, szkła i pękających jak baki złotych taksówek, trąbiących na siebie nieustannie, popędzających się do przodu po jednokierunkowych zazwyczaj i dość wąskich ulicach skalistej wyspy. Ta trójka jest światem dla siebie: odgradzonym od obcych mgiełką alkoholu, ale chyba i inną, potężniejszą barierą.

Poznałem już ludzi ciekawych, niezłe sytuowanych. Bywam w Polskim Instytucie Naukowym przy 66 ulicy, niedaleko od Fundacji Kościuszkowskiej, gdzie przeglądam wydawnictwa o Polonii i przesłuchuję taśmy magnetofonowe, na których zarejestrowano wspomnienia wdów po wybitnych polskich pisarzach, rzuconych wojną do Ameryki. Instytut powstał w 1942 roku, założony przez sześciu byłych członków Polskiej Akademii Umiejętności. Jego prezydentem jest John Gronouski, dziś profesor University of Texas, kiedyś minister poczty amerykańskiej, a dyrektorem

— profesor Feliks Gross z City University of New York. Organizacja skupia około 700 osób z całych Stanów Zjednoczonych i z zagranicy, w tym kilka z Polski, posiada oddziały w Filadelfii i Chicago. Należą też do niej rodowici Amerykanie, zainteresowani naszą kulturą, jak na przykład dziekan sławistyki w Columbia University. Aby zostać członkiem Instytutu, należy mieć przynajmniej doktorat, lub otwarty przewód doktorski, albo być artystą. PIN urządza odczyty, kursy języka polskiego, rozwija badania naukowe, ostatnio — nad polską grupą etniczną w USA. Od kilkunastu lat organizuje też kiermasze książki polskiej, od ćwierć wieku wydaje w języku angielskim kwartalnik naukowy „The Polish Review”, którego redaktorem naczelnym jest Ludwik Krzyżanowski, a associate editor — Krystyna M. Olszer. Instytut nie otrzymuje dotacji, środki na działalność czerpiąc ze składek członkowskich (25 dolarów od osoby rocznie), sprzedazy książek, z imprez i stypendiów na określone cele, przydzielanych na przykład przez Rockefeller Foundation. PIN mieścił się kiedyś w dwóch pokojach, obecnie korzysta z ładnego budynku Fundacji Jurzykowskiego, w którym znalazło się miejsce na biura, salkę odczytową, bibliotekę i archiwum. „Wymieniamy wydawnictwa z krajem — usłyszałem od pracownika Instytutu — ale nie możemy dostać czterotomowej Encyklopedii Powszechnej PWN”.

Zadamowilem się więc niemal w Nowym Jorku, lecz nikt dotąd nie był w stanie powiedzieć mi, gdzie znajdują się obrazy historyczne „Bractwa św. Łukasza”, wysłane w 1939 roku na wystawę światową w USA. Nic na ten temat nie wiedział nawet pan Legutko z New Jersey, co dziwne, jako że ten był inżynierem budowlanym (dyplom w Stanach) zakotwiczył się na dobre w branży artystycznej — handlowej i zajmuje się wyłącznie sztuką polską. Twierdzi, że obecnie jest jedynym faktycznym marchandem czy dealerem naszego malarstwa w świecie. „No bo tak: pułkownik Tadeusz Rudnicki, jeszcze w armii Andersa handlujący dywanami w Iranie, zmarł w Paryżu i leży na cmentarzu w kraju, Romuald Wernik przegrał sprawę w Londynie, a pani Studzińska, wdowa po znanym antykwariuszu, szwankuje na zdrowiu. Pomniejsi zaś handlarze nie liczyli się i nie liczą na rynku sztuki”.

Pan Legutko pochodzi z Nowego Sącza, sylwetkę ma szczupłą i niewysoką, ale energię i zmysł kupiecki — wielkie. „Sztuka jest po to — powtarzał popijając baranię zachodnoniemieckim „Heinikenem”, piwem popularnym w Nowym Jorku — aby nią handlować. Tak było i tak jest”. Uwagę inżyniera na rzeczy piękne i chodliwe zwróciła jego żona, historyk sztuki, on zaś podszedł do sprawy metodycznie, racjonalnie, jak prawdziwy przedstawiciel świata techniki. Otóż zapisał się pan Legutko na studiowanie sztuki w The Barnes Foundation, założonej w 1922 roku pod Filadelfią przez pana Barnes, który początkowo był lekarzem, później studiował chemię w Niemczech, aby ostatecznie związać się ze sztuką, z kolekcjonerstwem wybitnych dzieł malarstwa. Przed tym, naturalnie, mister Barnes zbilionował na leku przeciwko ślepoty niemowląt, który wynalazł. A fundację powołał przy pomocy Johna Deweya, wybitnego estetyka amerykańskiego, filozofa, psychologa i pedagoga, twórcy tak zwanego instrumentalizmu, czyli odmiany pragmatyzmu oraz koncepcji „uczenia się poprzez działanie”, którą przez pięć lat realizował, może nie zdając sobie sprawy, właśnie nasz inżynier, dojeżdżający raz w tygodniu na wykłady w ładnym budynku fundacji, położonym w rozległym parku i wyposażonym m. in. w 180 obrazów i szkiców Renoira. A teraz pan Legutko prowadzi własną galerię, bierze udział w aukcjach Sotheby Parke Bernet, daje odczyty o malarstwie w Fundacji Kościuszkowskiej, w sali zawieszonych płótnami Matejki, Maleczewskiego, Chelmońskiego, Brandta i wielu innych dziewiętnastowiecznych i nieco późniejszych nadszanych znakomitości, kilka metrów poniżej ciemnego korytarzyka, w którym popadają w kurz zapomnieniu obrazy współczesnej polskiej awangardy, o takich na przykład tytułach: „In silentium” (I), „Improwizacja” czy „Obszar 180” z motorkiem elektrycznym z tyłu.

Pan Legutko prowadził też aukcję obrazów pewnego naszego znanego kolorysty, która towarzyszyła recitalowi Wiesława Ochmana na rzecz rewolucyjnej zabytków, koncertowi odnotowanemu w jednym z poprzednich odcinków tego reportażu. Robił to sprawnie, sugestywnie, choć może nie tak szybko, jak aukcjoner międzynarodowych targów na konie arabskie w Janowie Podla-

Nie ma nowych kierunków, jest jeden: od człowieka do człowieka.

St. J. Lee

estetycznego zadowolenia. Mimo tej atmosfery członkowie Komitetu zachowują się na zewnątrz spokojnie i godnie, odpowiadają w prasie, a na swoich posiedzeniach postanawiają nadal działać zdecydowanie. Oszczędzają na wszystkim: na honorarium dla przemierzającego głodem artysty, który też musi z czegoś żyć, redukują ilość liter — z zamierzonych 480 do 390 — ponieważ wyrycie każdej kosztowało złoty i dwadzieścia groszy, karzą firmę kamieniarską „Jarosław Nowak” za zwłokę, nie wystawiają modelu w gipsie przed Trybunałem itp.

Czerwcową rocznicą 350-lecia urodzin Kochanowskiego zblizła się nieublagalnie, jednak termin odsłonięcia pomnika trzeba było przedłużyć o rok. Nawet dobrze się stało, zdaniem niektórych, bo w 1931 roku miał przybyć do Lublina prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej prof. Ignacy Mościcki. Okazja to niebывала, aby właśnie on dokonał odsłonięcia. Od momentu powzięcia wiadomości o zamierzonym przyjeździe także władze wojewódzkie i miejskie zdawały się być bardziej niż przedtem zainteresowane inicytywą, ale prócz kilku niewiele znaczących gestów mało to dało i nie pomogło w kłopotach. Napaści były już jednak łagodniejsze. „ABC” zaczęło nawet ponaglać: Nie można marudzić z wykonaniem bo rozpoczęcie budowy, czy odsłonięcie pomnika, będzie dla Lublina poważną uroczystością, połączone z projektowanym przyjazdem Pana Prezydenta. Wprawdzie ucichły dyskusje, ale spodziewana ofiarność raczej malała. Wystawę projektów pomnika zwiedziły 94 osoby, ale wokół projektów spory toczyli wszyscy w ponad stutysięcznym mieście. To samo „ABC” po zebraniu Komitetu oburza się razem ze społecznikami: W mieście takim jak Lublin opiniję tę powinno tworzyć przynajmniej 10 tysięcy inteligencji, która w nim żyje.

Opóźnione zgromadzenie funduszy oraz zwłoka w nadejściu ze Śląska granitu jasnego, bez skazy sprawiły, że i w nowym terminie wystawienie pomnika okazało się niemożliwe i trzeba było je przelożyć na początek jesieni. Karząc firmę kamieniarską pięciusetzłotowym potrąceniem, argumentowano: Komitet poniósł wprawdzie nie straty materialne, ale poważne straty moralne, gdyż musiał się narazić na nieprzyjemności w chwili układania programu przyjęcia p. Prezydenta. Zubożenie wizyty oraz niemożność ukazania z tej okazji wysiłków Komitetu przed całym krajem, zabolowały najbardziej. Sam poeta w dyskusjach zupełnie zniknął. W końcu jednak organizatorzy mogli sobie powiedzieć: Dokończenie budowy jest możliwe bez dalszych składek i bez deficytu, a termin odsłonięcia ustalić na 27 września.

Czy jednak na tym świecie można zaznać pełnej szczęśliwości? Na dwa dni przed uroczystością obok postumentu usunęła się ziemia po burzy, a w dniu odsłonięcia popadywało. „Express Lubelski” i „Ziemia Lubelska” miały okazję do sensacji i zmyśleń.

Nieco wcześniej anonimowy publicysta „Głosu Lubelskiego” odkrył ponadto historyczny błąd i przed trwaniem w nim ostrzegal:

Mianowicie w akcie erekcyjnym (projekcie już uchwalonym) zaznaczono, że akt odsłonięcia odbywa się za „rządów wodza Narodu, marszałka Polski Józefa Piłsudskiego”. O ile wiemy, rządy obecnie sprawuje w Polsce w charakterze premiera p. Prystor ongiś minister przemysłu i handlu a zasadniczo pułkownik [...] Ochrzczono w akcie erekcyjnym p. Piłsudskiego „wodem Narodu”, gdy jest ogólnie wiadomo, że co najmniej trzy czwarte Polaków p. Piłsudskiego za takiego (w chwili odsłonięcia pomnika) uważać nie będzie. [...] Przyszłe pokolenia, gdy kiedyś znajdą akt ere-

kcjny i porównają z rzeczywistością, odniosą chyba bardzo niewyraźne wrażenia o znajomości historii osób, które akt podpiszą, albo też powiedzą, że zupełnie się nie orjentowały w wewnętrznym położeniu politycznym Polski współczesnej. [...] Może będzie można te dwa zasadnicze błędy historyczne jeszcze poprawić, by potomności przekazać faktyczny, bezstronny i najbardziej oczywisty obraz Polski z 27-go września 1931 r.

Sprawę miał uratować myślnik lub średnik, przeforsowano w końcu, że średnik trzeba koniecznie umieścić, a wtedy początek dokumentu będzie brzmiał bardziej jednoznacznie: Roku Pańskiego tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego, za rządów Pana Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego; za Pierwszego Marszałka Wojsk Polskich w Ojczyźnie, Józefa Piłsudskiego... itd.

Chętnych do udziału w wyselekcjonowanej grupie, towarzyszącej ministrowi WRIO Januszowi Jędrzejowiczowi, wojewodzie Bolesławowi Świdzińskiemu, biskupowi Marianowi Fulmanowi i innym prominentom, było wielu. Prośby napływały także od tych, którzy przedtem nie dali nawet złotówki, choć mogli ofiarować setki. Kochanowski był obecny w przemówieniu prezesa i ministra, prasa oprócz opisu tłumów, które trzeba było nawet zatrzymać, a policja zmuszona była zamknąć przejścia od strony zamku i Krakowskiej Bramy, dęła w obowiązujące wtedy trąby.

„Polska Zbrojna” kończyła swą relację: „tłumy przyglądały się — [TJ] wyrzyte w granicie twarz pana z Czarnolasu, cofając się myślą w świat Zygmuntofską przeszłość, by zacerpnąć otuchy i wiary w przyszłość Polski mocarstwowej. Kochanowski

wydaje się w tych głosach jedynie postacią pretekstową. Swoją piszczałką dołącza np. „Ziemia Lubelska”, pisząc, że mury Starego Miasta od dawna nie widziały tak zgodnego, potężnego rytmu serc, wzebranych uczuciem dla wyzwolonej krwi żołnierza polskiego Niepodległej Rzeczypospolitej — kroczącej pełną drogą do mocarstwowości.

Także prezes Kukulski zauważył: Kochanowski jak nikt inny w piśmiennictwie oddychał mocarstwem znaczeniem Polski: „gdzie spojrzę wszędzie widzę polskiej sily znak”.

Z tych słów bije pewność, że możemy odgrywać pierwszorzędną rolę w świecie, z tych słów widać ufność, że Polskę stać na to, żeby w pewnych momentach dziejowych reprezentować Europę. Uczeń Lipecki z gimnazjum hetmana Jana Zamoyskiego — jak doniosło „ABC” — składając „told wielkiemu poecie, zaznaczył w końcu przemówienia, że dla godnego uczczenia tej uroczystości, młodzież szkolna składa 350 zł na pomoc dla bezrobotnych.

Prasa dnia następnego przyniosła wiadomość, że komisarz miasta Józef Piechota został przez premiera powołany w skład krajowego komitetu zwalczającego bezrobocie. Udał się do stolicy po wieczornym przyjęciu w członka Trybunału Stanu i prezesa Rady Gromadzkiej Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem na miasto Lublin, dra Jana Modrzewskiego.

PS. Zmarły niedawno, bliski współpracownik architekta miejskiego Ignacego Kędzińskiego, inż. Henryk Zamorowski, oświadczył mi, że w 1941 roku gestapo nakazało rozebrać pomnik i wyrzucić na śmietnik. On i jego pracownicy ukryli całość granitu w wielkim dole obok cokołu, pod brukiem, gdzie przetrwał on 18 lat, gdy znaleziono dla niego miejsce przy ul. Narutowicza. Zarząd Oddziału ZLP zwracał się do Urzędu Miejskiego dwukrotnie o fachowe, coroczne mycie pomnika i stałą nad nim opiekę. Prośba nie znalazła pozytywnej odpowiedzi, a brudny i „ozdabiany” 29 lat przez ptaki rzeczywistości nie budził w nikim „estetycznego zadowolenia”. I dlatego wstrzymujemy się od zamieszczenia jego zdjęcia.

skim, który zapewne przez przypadek nie został karabinem maszynowym. No tak, ale obraz to nie ogier, delikatności większej wymaga. Aukcja zakończyła się sukcesem: jedno płótno malarza poszło za 3600, a drugie za 1700 dolarów, więc artysta promieniał. Co prawda pieniądze te, jak i dochód z biletów wstępu na imprezę (10 dolarów od osoby), też kierowano pod adresem starego Krakowa, to przecież autorowi pozostawała chwała i prestiż. W rezultacie zaczął później żądać za swoje pejzaże, portrety i martwe natury po dwa — trzy tysiące dolarów, a podobno i więcej, wzbudzając tym wielkookie zdumienie potencjalnych kontrahentów. A tajemnica tej reorientacji, pozornej przecież, kryła się w tym, że podczas aukcji ceny obrazów zostały sztucznie i z całą godną w tym przypadku najwyższego szacunku, premedytacją podbite przez dwie panie z rodziny K., która w ten sposób, szlachetnym gestem, żegnała się z miejscem swojego dotychczasowego urzędowania. W Polsce wiedza o tym jest tylko moim i państwa udziałem.

Pan Legutko wiedział o wielu sprawach, ale o cyklu „Bractwa św. Łukasza” nie słyszał. Trochę tym wszystkim zaskoczony, postanowiłem zasięgnąć języka u jeszcze jednej osoby, która wzięła mi swoją wizytówkę w Centrum Polsko-Słowiańskim w Brooklynie. Andrzej Pityński mieszkał przy Dupont Street...

Przy 65 Street za Madison, niedaleko dwupiętrowego i wąskiego domu z cegły, przypominającego najlepsze czasy spokojnej Ameryki — tłumek jakowys kręci się wokół człowieka w szarym płaszczu o kroju dyplomaty, dyskretnie wciągam w pasie, widać, że uformowanym przez dobrego krawca. Uśmiechają się ludzie do mężczyzny, wyciągają ręce z notatnikami i kartkami papieru, on zaś nie odmawia, kreśli coś tam, chyba autografy — mając stale za plecami dwóch rosnących dryblasów. Podchodzę bliżej: tak jest, mam przed sobą Richarda Nixona, byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który zbiera oto dowody sympatii do własnej osoby, na wszelki wypadek ubezpieczony przez goryli. Wygląda dobrze, w uśmiechu pokazuje efektowne zęby, sprawiające wrażenie naturalnych, macha długopisem, ścisła dłoń, pyta mnie o zdrowie, jakby wiedział, bestia, że rozmawia z tym samym facetem, który wiele lat temu stał w tłumie ludzi witających prezydenta Nixona na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie... Nagle kończy zabawę, dziękuje zebrany za życzliwość, przeprasza i szybko odchodzi w towarzystwie osiłków i operatorów telewizyjny z kamerami na ramionach. Oto mąż stanu z prawdziwego zdarzenia; wie, kiedy odejść, aby nie spowszednieć.

Metro: jedna przesiadka, druga i znów jestem w Greenpoint. Idąc do Dupont Street, mam wrażenie, że zbliżam się do Mekasyku czy Porto Rico, tak dużo tu ludzi o brązowej skórze, rozmawiających głośno po hiszpańsku. A na drzwiach piętrowego domku Andrzeja Pityńskiego, jedną

ścianą graniczącego z asfaltowym boiskiem do koszykówki i innych zabaw, obok nazwiska rzeźbiarza czytam: „Ramon” oraz „Rodriguez”. Koniec złudzeń, Greenpoint jest już dzielnicą, w której również mieszka Polacy.

Pityński jest serdeczny, prowadzi do półsutek-spry, gdzie pracuje, nalewa do szklanek polskiego spirytusu z sokiem pomarańczowym, po pięciu minutach przechodzi na „ty” i mówi, że chałupę kupił od teścia, byłego żołnierza Drugiego Korpusu, za 20 tysięcy dolarów, a w ogóle to pracuje w wielkiej firmie rzeźbiarskiej pod tytułem: „Johnson Atelier Technical Institute of Sculpture” w Princeton, która ma charakter komercyjny i lubuje się w dziełach ogromnych. Oto na przykład szef firmy zażyczył sobie niedawno, aby odlano mu postać baśniowego wielkołuda — z głową o wysokości 15 metrów! Ostatnio Andrzejowi idzie „z góry”, ma fart, wykonaną właśnie przez niego rzeźbę w gipsie „Hubalczycy” Amerykanie chcą odlać w naturalnej wielkości, aby jeden egzemplarz postawić przed budynkiem instytucji, drugi sprzedać za bardzo wysoką kwotę. Sądząc po fotografii, pięciu konnych to zupełnie niezła rzeźba.

Gospodarz dolewa spirytusu, sam pociąga oszczędnie, bo niedługo musi jechać na spotkanie z polskimi kombatanami, dla których robi jakiś okolicznościowy pomnik, „Harcerzyk”, no nie — „harcistrz” albo nawet sam „komendant główny” rozlewniwa, a i scenografia pracowni działa na emocje: ktoś oprze się działaniu kompozycji ściennej, złożonej z szabli oficerskiej, medali i krzyży wojskowych, drillingu, orłów pięknie białych i książek polskich, kompozycji należącej, jak się okazuje, do teścia Andrzeja.

Pityński urodził się w Ulanowie na Rzeszowszczyźnie, rzeźbę studiował w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem Mariana Koniecznego, a później Jerzego Bandury. Zdolny był: właśnie jego autorstwa popiersie Paderewskiego stoi dziś na wysokim cokole przed gmachem Paderewianum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, a wykonaną przezeń tablicę pamiątkową ku czci królowej Jadwigi oglądać można na ścianie Collegium Novum UJ. W 1973 roku „Trybuna Ludu” zamieściła fotografię „Kircholmu” Pityńskiego, wyróżnionego na ogólnopolskiej wystawie plastyki o tematyce wojskowej w warszawskiej „Zachęcie”.

W 1974 roku obiecujący rzeźbiarz „wyskoczył” do USA, aby po zarobieniu dolarów wrócić do kraju i wystawić sobie okaziałą pracownię. Tak przynajmniej planował. Życie jednak to zwierzę figlarne. Najpierw mocno przetarło podróżnika w takich robotach, jak selekcja szmat i rozbórka starych domów, gdzie o mało nie postradał duszy, spadając z siódmego piętra na czwarte, a potem naślądo na absolwenta ASP amerykańską służbę imigracyjną, którą ubrawszy go w kajdanki, dostarczyła na policję. Tam dowiedział się, że jeśli nie poprosi a zył polityczny, zostanie deportowany

do Polski. No — przypomniał sobie w porę policjant — w Stanach mógłby zostać także z powodu ożenku. Pityński zadzwonił więc do panny Krystyny, którą widział bodaj dwa razy w życiu, i zreferował sprawę. „Good”, zakończyła panna rozmowę, wyłożyła pięć dolarów na ślub i rzecz całą sfinalizowano, na świadka prosząc oficera, który przesłuchiwał rzeźbiarza w komisariacie. Teraz Pityński ma 33 lata, kochaną i gospodarną żonę i prawie trzyletniego syna.

Szybko minęła godzina, Andrzej chce mi jeszcze pokazać niewielki plac, otoczony wysokim płotem i przylegający do domu. „Tu zbuduję pracownię”, mówi z przekonaniem i wola do siebie wielkiego, choć młodego wilczura, krążącego wokół ścian ogrodzenia. A kiedy pytam, czy wyprowadza zwierzę na dłuższe spacerki, zaprzecza i wskazując na okoliczne domy informuje: „On musi nas pilnować przed tymi tam, z Porto Rico”.

Pityński nie wie o obrazach „Bractwa św. Łukasza”.

Wracam tą samą trasą. Obok domu Nixona stoją dwie grupy, oddalone od siebie o jakieś 50 metrów, oddzielone policją. Młodsza, licząca jakieś 30 osób, wrzeszczy niemiłosiernie, powiewając transparentami z takimi napisami: „Duch Nixona musi umrzeć!”, „Wymień Nixona na zakładników”, „Masowy morderca”. Na niektórych plachtach obok nazwiska byłego prezydenta czernią się swastyki.

Druga grupa jest spokojniejsza, opanowana, godna i znacznie mniej liczna, a przy tym starsza. Otoczona płotkami z napisem „Police line”, eksponuje plansze: „Nowy Jork wita Nixona!”, „Witamy prezydenta i panią Nixon!”, Na białych tarczach czerwienią się też serduszka. Elegancka i przystojna przedstawicielka tej grupy rodzaje widom ulotki z tekstem powitalnym, w którym znajdują się zdania pełne nadziei, że dobroczyńca Manhattanu wróci jeszcze z honorem do życia publicznego. „Welcome, President and Mrs. Nixon, to New York City!”.

Obserwując ten ilustrowany przyczynek do amerykańskiej demokracji oparłem się mimowolnie o niski metalowy płotek, symbolicznie chroniący dostęp do ceglanego domku i w tym momencie usłyszałem: „To własność prywatna, proszę odejść!” Twardo zabrzmiały te słowa, choć wypowiedziała je kobieta drobna, w sile wieku. „I am sorry”, bąknąłem i wtedy ścignięta gniewnie twarz tej kobiety rozchyliła się nagle w uśmiechu pełnym sympatii...

Słuszność powinna być zawsze po swojej stronie.

St. J. Lee

Kamena str. 7

ZEBY tylko nie lato — powsta-
rałem w końcu podczas tych
wszystkich dni poprzedzają-
cych wyprawę. Materace
czekały gotowe. Koca, gary, be-
le, latarki, gumowce, kapelusze, pod-
kurczacz, pojemniki na miód, pudła
na ramki i nadstawki.

— Jak poleje, będziemy mieli z
głowy młodobranie — pocieszał
Edward czyniąc ostatnie przeglądy
noży, odklepiaczy wirówki, Zuka.

— Wystarczy, że przez te dwa dni
będzie się miało na deszcz, o czym
my nie, ale pszczoły dobrze wiedzą, a
tak nam dadzą, że nie zrobimy nawet
połowy — informował markotnie pan
Jan, brat Edka, nie pszczelarz, ale
doświadczony pomagier, cięty wielo-
kroć za najzułsze miejsce. Od lat
słone za bratem w ogień, to znaczy:
tyle samo, co w ogień, bo pomiędzy
rozbebeszone wnętrza pni, w chmurę
rozjątrzonych owadów, z których ka-
żdy — kamikaze: uderzyć, zginąć, nie
dać!

— I po co to panu skoro jest pan
uczulony — powtórzył jeszcze raz,
ale znów tak, żeby nie odstraszyć, a
tylko uprzedzić o tym, co mnie cze-
ka.

— Powtarzam: cały czas siedzę w
gajówce i odklepiam. Nie wychodzę
na krok z chaty.

— Ale w środku i tak znajdują się
setki pszczoł. Będą tam przez cały
czas.

— Skąd się wezmą?

— Brat będzie je przynosił z ram-
kami. Nie sposób w ulu otrząsnąć i
owiesić wszystkich. Nie ma na to cza-
su.

— To pewnie, że użądli pana kilka,
tego się nie da uniknąć — martwi się
pani Natalia, żona pszczelarza. Jak to
jest u pana z tym uczuleniem?

— To było dwa lata temu. Rąbnęła
mnie w plecy. Myślałem, że to czule miej-
sce. Dostałem wysypki, swędzenia po
całym ciele, spuchły mi wargi, mia-
łem dreszcze.

— I co?

— Zona okładała mnie liśćmi lopia-
nu i babki.

— Dobre są zimne okłady — doda-
je pani Natalia.

— Z pierś byłyby lepsze — tartuje
Jan.

Pasieka w ciągu roku ma stałe
miejsce postoju w P., w okolicach
Radawca, w dużym sadzie jabłoni-
wym. Za lokatorne — zapyłanie sa-
du. Jest ustawa, że w zależności od
rodzaju uprawy, właściciel płaci
pszczelarzowi po kilkaset złotych od
ula. Tu sprawa honorowa — fifty-fi-
fty, choć w świątku pszczelarskim
szarżają się przeróżne numery. Jak
np. z tym rzepakem w jednym z pe-
geerów. Umówił się jeden taki, że
wstawi 100 pni, po tysiąc złotych od
sztuki. Spisał umowę. Wstawił 100
ul, ale w środku znajdowały się na-
dane rodziny na wymarcie. Rzepak
się nie udał, on zgarnął 100 patyków.
Za nic.

Chcąc mieć miód i w ogóle nie do-
łążyć do pszczoł, tylko jeszcze zarobić,
trzeba wędrować. Zaczyna się od
rzepaków. Potem gryka. Czasem, co-
raz rzadziej, co 5-7 lat, spadziuje jo-
dła lub lipa. Jak jest dobra spadź,
można odbierać miód w kapielów-
kach. Mucha nie tnie, zajęta rozre-
nieniem.

Potem koniecznie. Ale od paru lat
koniecznie nie nektaruje, a, jeśli, to
gdzieś tam, miejscami. Traci więc
znaczenie pszczoła kaukaska, jedyna,
która dzięki przedłużonemu narzędo-
w' śledzą do słupka koniecznie.

Na koniec jeszcze wrzosy. Też
kapryśne. Najlepszy jest miód z wrzo-
su i gryki. Potem spadziowy przed
laty tak pogardzany, bo to wydziela
mazy i popioły; dalej mleszany, z
facelli, w ogóle leśny. A w końcu, naj-
lepszy jest każdy, byle nie podrabiany.
Edward wędruje tylko na gryki. Na
rzepak, kwitnący prawie jednocześnie
z jabłonią, nie może, bo wtedy za-
dawkę by się obruszył. Koniecznie
zawodzą, a wrzos też znaleźć trudno,
żeby się opłaciło. Miód wrzosowy jest
galaretowaty, trzyma się mocno w
ramce, powstaje podciśnienie w ra-
mce, powstaje podciśnienie w ra-
mce, jak zakręcić moczki, to
wypadają larwy lub cała wosa.

Kraina gryk — lubartowskie, ma-

razenie i ideal pszczelarza. A przy tym
gryki nektaruje. Gryka i lubar-
towskich pszczoł nektaruje, a du-
brych glebach nie chce. Nawet ta ne-
ktarująca wymaga właściwej pogody.
Susza skraca czas nektarowania. Ule-
wy zmywają pyłek. Grzmoty i bly-
skawice — rzeci nie zbadana do koń-
ca — porażają słupki.

Opuszczona gajówka w... „Tylko nie
napisz gdzie to jest, w przyszłym ro-
ku miałbym pod bokiem paru kon-
kurentów!” Trzy kilometry od asfaltu,
na skraju dużego kompleksu leśnego,
wśród pól, w głuszy zupełnie. Stoi pu-
sta od kilku lat. Gajowy uszedł z ro-
dziną, nadleśniczy nie może namówić
na zamieszkanie nawet któregoś z
robotników leśnych. Piękny, drewnia-
ny dom o czterech izbach, stodoła z
oborą, kawał słuźbowego pola. Nie
ma chętnych. Wielkie podwórze w
powodzi lopianów; dom, mimo okien-
nic, nie ostal się wędrownym pla-
szkom: wyrwane blachy kuchenne,
butelki i... dla dowcipu — krwawe
ślady (kropel z soku) na ścianach.
Wokół potężne dęby, unikalna w skali
kraju odmiana sosny, piękniejsza od
włoskiej. I dookólna, wszechobecna
cisza...

W tę ciszę wdziera się głos sili-
ków. Odpowiedzią jest zajadle szcze-
kanie dwóch kundli przywiązanych do

Wczesny ranek. Jest tylko jedna
ważna sprawa: pogoda. Z wysokości
ganku ustalamy prognozę: chłodno,
lekki wiaterek, przeżyty słońca —
będzie zmienne. Ale tylko do południa.
Co zrobi się do trzeciej, jest nasze.

Już po inieadaniu, ale sygnał do ak-
cji da Edward. Za wczesnie. Jeszcze
mucha nie wyszła na połytek. Jeszcze
pełno jej w ulu. Edward i Jan za-
kładają kapelusze. Rozkładają namiot
z muslinu. To jasno, że około połud-
nia trzeba posłużyć się namiotem:
przykrywać nim otwierany ul, aby u-
strzec go przed rabunkiem pszczoł z
innych uli; trwa wtedy bezlitosna
walka na żądla, trup pada garściami!

Ruszamy. Pierwsza część akcji dość
łatwa: zabrać i odwirować ramki
nadstawkowe. Tu mało muchy, pra-
wie wcale czerw, ale życie pięćdzie-
sięcio-, osiemdziesięcio-, stutysięcznej
rodziny skupia się w środku, na ram-
kach gniazdowych. Tam matka, czerw,
mateczniki, trutnie.

Wszyscy na stanowiskach. Ewa przy
wirówce, w gumowych rękawiczkach
chroniących dłonie dobrze zapowia-
dającej się pianistki; pani Natalia, ja
z żoną obstawiamy wąskie gardło
młodobrania: odklepienie plastrów.
Ramkę, zasklepioną do zimowania,
trzeba odklepić, ciągnąć umiejętnie
nożem lub drucianą łopatką po na-
wierzchni plastra. Zbyt głęboko —

BRANIE MIODU

Henryk Pająk

barierki w ganku. Jest późne popo-
łudnie — ich właściciel, chłopak wy-
najęty na miesiąc do pilnowania pa-
sieki, gdzieś zniknął. Pojawia się do-
piero po jakimś czasie, rwabłony sy-
gnałem samochodów i ujadaniem
psów. Mieszka w pobliskiej wsi. Pięć
tysięcy jego pensji nie uchroniło pa-
sieki przed włamaniem. W biały
dzień, kiedy oddalił się na gryby,
wyrwano kłódki w dwóch ulach. Zgi-
nęły matki kaukaskie; tu już wiada-
ją że właściciel pasieki jest znanym na
cały region hodowcą matki kauka-
skiej. Poszukiwano? Pszczoły, choć
opatrzonej na grubości kolorem po-
kolonia oryginalna?

Chłodno, komary jak messerschmit-
ty, góra masochi wędruje do pokoi
oświetlonych mierzym płomieniem
lampy gazowej, dwie rodziny sposo-
bą sobie legowiska, mój Tomek wnie-
bowięty: półmrok, prymityw noclegu,
kolacja, w której przewaga pszczoł
nad widelniami podpowiada tak wiele.
Rozstawienie ekwipunku, młodziarki,
słojaków na ramki i odklepiń, mie-
dnie, dżbanów, kowi i wodą (w stu-
dni nabrzmiały zwałok kota, wodę
trzeba przywozić); żadnych pizam,
mycia rak i rębów! W kuchni, w me-
skiej trójce, walka narada przy-
szonnych głosów — czy już dziś i czym
rozprowadzić spirytus? Głos z pokoju
dam.

— Już się zaczyna? Ja chyba do was
wrócę!

To moja. Pani Natalia milczy kur-
tuzyjnie, ale myśli to samo. Trzeba
wyjechać, że to przygotowania do-
pięzo na jutrzejszy wieczór. Niech
rzecz się przegryzie.

Po kwadransie wstępuje śpią: lu-
dnie, psy, pszczoły i messerschmit-
ty. I lat, podobny w rozgałęzionym
mroku do gigantycznej, zastygłej bry-
ły miodu.

niszczą się pościele, zbyt płytko — o-
puszcza komórki, z których nie wy-
cieknie miód.

Za szczelnie zamkniętym oknem
tamci dwaj — Edward i Jan. Pier-
szy, król młodobrania, wyjmuje ram-
kę, otrząsa ją z pszczoł, poprawia
miotką, wstawia do pudła i szybko
przykrywa je płótnem. Do pudła nad-
stawkowego wchodzi kilkanaście ra-
mek. Gdy jest pełno, Jan nie bez tru-
du niesie je do nas, otoczony rojem
pszczoł. Otwiera drzwi sieni, wsuwa
pudło i zatrząskuje drzwiami. Z tej sro-
ny brakuje kłamek, trzeba manipulo-
wać kombinerkami i tu właśnie rą-
bnie mnie po raz pierwszy: choć
zasknął drzwi, chwyciłem kombiner-
ki oznaczone w miodzie — była tam!

— To nic, to daleko od serca — po-
cierzają — tylko spuchnie.

— Mam wrażenie, jakby ugryzła
mnie w samo serce!

— Pszczoła nie gryzie tylko żądli —
poprawia Ewa, wkładając kolejną
nadstawkę do bełna młodziarki. Te-
raz już bój w pełni i nikt się nie roz-
czula żądłami. Pion dwóch, trzech pu-
deł poddajemy ocenie „na pion”. Nie
jest najlepiej. Nadstawki nie są po-
szyte całkowicie, jasnociłte średnio-
kątę pokrywają większość i niech ty-
ko w połowie, w trzech czwartych, a
też „deski” — równomiernie i cał-
kowie zasklepienie nadstawki szarżają
się rzadko. Taka „deska” wazy i pięć
kilo — każda wita ją stony szarża: o
gdyby tak wyrzekł! Jakże będą ram-
ki gniazdowe? Z pewnością gorzej. Bo
przecież i czerwem.

Nabieram wprawę w odklepianiu.
Już odróżniałem komórki z miodem od
komórek z larwami, już odklepiacz
szale równo po powierzchni ramki,
wskliwym ruchem ocieram odkle-
piacz a bełką pojemnika, wiem, kiedy
posłużyć się nożem, a kiedy odklepi-

ciem. Wreszcie zaczynam odróżniać
kit od wosku. Teraz już sam go o-
skrabuję — cienniejsze od wosku
wonne grudki, które robią tak zawra-
tną karierę. Dlaczego jest taki drogic!
Bo go mało, skrobienie żmudne, powo-
dujące, że w nawale roboty wywią-
tuje się nawet dyskusja między Edwardem
i Natalią, czy zawracać sobie głowę
kilem? Stanęło na tym, że zawraca-
my. Kit to kit. Tytu majomnych za-
mówiła.

Przybywa miodu. Z otworu wirówki
szczy się do kotła ciemnobrązowa sub-
stancja. Już swoją krystalizacją, ko-
lorem podpowiadająca żmudne, cenne,
niepowtarzalne pochodzenie. Jeden
litr wazy 140 kilograma. Jak niełatwo
potem zapłacić kilkaset złotych za
słoiki!

Pocimy się. Szczelnie zamknięte
okna. Każda, zbędnie odsłonięta część
ciała kusi do użądlenia. Za oknem
słonecznie, bezwietrznie. Pić. Tamci
dwaj, walczący w samym piekle, nie
mają czasu. Edward nieprzerwanie
pochylony, uważny, zmęczony, biały
od użądleń Jan, w odległości kilku
metrów oczekujący na zabezpieczenie po-
jemnika. Dwaj w środku piekła. Mi-
strz i czeladnik. Który mistrz?
Edward nie reaguje na żądla, Jan,
tak. Tylko od czasu do czasu, a
chwile, Edward paznokciem jedną
dłoni dotknie drugiej, podwajają żą-

dła. Żadnych gwałtownych ruchów
opędzania się, pszczelarskie dłoło wy-
puszcza z dłoni tylko po to, aby ująć
miotkę. Lecz po południu, kiedy pie-
kło sięgnęło zenitu, zrozumiałem, że
tych kilkaset użądleń nawet dla jego
organizmu stanowi zaczyna dawkę
nieleudzką, gdy trzeba rozgniatć
pszczoły coraz wyżej w rękawach, co-
raz wyżej w nogawkach, coraz głębiej
pod koszulą; coraz bardziej zajadle,
desperackie.

— Pić!

— W ubiegłym roku — mówi pani
Natalia głosem kobiety obeznanej z
arkanami tej sztuki — obydwaj przez
cały dzień nie nie jedli, ale każdy wy-
pił po wiadrze wody z miodem. Czy
pani uwierzy, że można wypić wiadro
wody w ciągu dnia?

— Sama wypilem już ze dwa litry,
A w ogóle, to mi duszno...

Wysysamy miód z odklepiń. Jedyny,
niepowtarzalny smak miodu daje tyl-
ko łucie odklepiń. Kto nie już świe-
żych odklepiń, ten nie zna prawdzi-
wego smaku miodu, twierdzą pszcze-
larze.

Ramki gniazdowe nie przynoszą re-
wencji. Już wiadomo, że żądla będą
średni, grubo nitę zapowiedzi. Przed
tygodniem były pełne nakropa, potem
wyskoczyły trzy — cztery dni deszczu
— mucha zjadła to co bebrała. Odk-
lepienie staje się teraz jeszcze trud-
niejsza, trzeba omijać komórki czer-
wia, nie można podciągnąć nożem po
plastrze. A tamci za oknem gonią re-
sztkand. Po kilku następnych ulach
wracają na chwilę. Zdejmują słajki.
Śladają na pojemnikach. Dyszą. Ja-
nowi puchnie powieka, Edward dostał

Wystarczy słowo — reszta
jest gadaniem.

St. J. Lec

Realizm z kluczem

w czubek nosa: to milejsza, których nikt nie znieśnie obojętnie. Albo... w krocie! Choć wtedy jest okazja do licznych żartów i aluzji.

— Teraz wiem — wzdycha Edward — dlaczego ty pszczelarzy w ostatnich dniach dzwoniło do mnie, pytając czy u mnie mucha jest tak wściekła na gryce. Co za rok cholerny!

— Tatusiu, nie klinij — upomina Ewa. — Złapałam wam czas. Robicie ctery ule na godzinę. Trzeba się spieszyć.

Edward postanawia: będziemy odbierać na zmianę. Polega to na wstawianiu pustych ramek podczas wyjmowania pełnych. Przeważnie opróżnia się całą pasiekę i potem dopiero wstawia ramki, co powoduje konieczność ponownego otwierania ula, ustawiania namiotu. Ale odbiór na zmianę ma swoje minusy. Pachnące miodem puste ramki, dłuższy czas ich manipulowania grozi nastrojem walki i rabunku: piekło wokół jednego może przerodzić się w piekło całej pasieki!

I tak się stało. Tylko jeden ul udaje się zrobić na zmianę. To, co teraz następuje, przeraża wszystkich: pszczoły z pustych uli, oczekujące na swoje ramki ruszają do rabunku. Zaczyna się rzeź. U wylotu tego ula padają setki martwych pszczoł. Wzrasta agresywność pozostałych. Jan, którego rola polega tylko na odnoszeniu pojemnika, stoi z rękami w kieszeni. Ale Edward... jego dłonie zanurzają się w ulu, wyjmują ramki, na których nie ma ani centymetra wolnej powierzchni.

Tu, w pokoju, obserwujemy te zmagania jak na filmie. Wiem, że nie chciałbym tych kilku kwintali miodu mieć choćby za cenę przebiegnięcia przez pasiekę. A do połowy, ustalonej na dziś, jeszcze pozostaje pięć uli. Jeszcze przeszło godzina, potem wstawianie pustych ramek. Zdażyć. Po zmroku pszczoła broni dostępu do ula w sposób desperacki, atakuje każdą. Pod wieczór dostają drugie żądło. Za uchem. Już wiem, co będzie. Napelniam wodą plastikową polewaczkę, otulam się szczelniej i przez północne okno wyskakuję do lasu. Po kwadransie rozpoczyna się nieznośne śwędzenie całego ciała, czuje drszczenie, puchną wargi. Wilgotny ręcznik daje wyraźną ulgę, ale roje komarów nie pozwalają zrzucić koszuli. W tym stanie odnajduje mnie Tomek.

— Mamusia mówiła, żeby tatusia polewał. I pilnował, jakby tatusi zemdlał...

— Ciebie trzy uciły i nic? Ty chyba będziesz pszczelarzem!

— Mogę — odpowiada z dumą. — Jakby był wolny kapelus, to mógłbym nawet pójść do pana Edwarda podawać puste ramki. Już zaczęli zakładać. Ale tatusi ma grube wargi, o jej!

Wracamy z lasu po godzinie. Najgorsze minęło, choć jeszcze śwędzi w pachwinach. Dom, mimo zmierzchu, nadal w obłączeniu. Błyskawicznie forsujemy okno. W środku trwają przygotowania do kolacji. Brzęczą naczynia, cicho syczy lampa gazowa. Siadamy. Wrażenia. Wyskubywanie żadeł. Edward trąca nożem o szkło butelki. Szkło wydaje wysoki dźwięk. Można pociąć, już się przegryzło.

— Liczyłem na więcej. Co za rok! — spogląda po kilku konwiach z miodem.

— Może koniczyny poprawią? — pociesza Jan.

— Poprawią... jak w zeszłym roku... No to po jednym. Aby nam się!

— Bęc!

— A pszczelarstwo umrze, to wam powiadam — dodaje po chwili. Raz — zatrucia, herbicydy. Dwa — coraz marniejsze nektarowanie. Trzy — z całej Europy i Kaukazu nadciąga warroza. To roztoc, który niszczy pszczoły. Cztery — pszczelarstwo musi być zawodem, a nie hobby.

— Ale ty masz w dowodzie: zawód — pszczelarz.

— Rzuciłem państwową robotę i postanowiłem udowodnić, że możliwy jest zawód pszczelarza. I zję z tego.

— A co z tym roztocem?

— Pasożyt, który wgrzyza się w tułów pszczoły. Nie ma przed nim ratunku. Podobno w RFN już wymyślili jakiś preparat, ale zanim się sprawdzi, potem zanim wyskrobie się dewizy, to będzie po pszczołach. Warroozę stwierdzono ostatnio już w okolicach Kraśnika. Wstrzymano import matek kaukaskich, ale co to da, jak roztoc jest już dokoła granic kraju? Przejdziemy na matkę jugosłowiańską, jest silna, szybko się mnoży, ale strasznie rojna. Uciekło mi tu ze 20 rojek. Tylko jedną znalazłem.

Zwraca się do Tomasza, któremu już kleją się powieki.

— Będziesz pszczelarzem?

— Będę — zgadza się bez wahania i bez przekonania!

PRYZNAĆ trzeba, że Tadeusz Jasiński swoją najnowszą powieść „Na spalonym miłości” oparł na interesującym i otwierającym duże możliwości modyfikacji pomysłu, który w prozie polskiej ostatnich lat był kilkakrotnie realizowany: na poszukiwaniach przez syna prawdy o ojcu. Tak było np. w „Szarej aureoli” Juliana Kawalca, wątek taki pojawił się w „Dlaczego tak, dlaczego nie” Henryka Lothamera; mamy też realizacje, w których osoby rodzinie neutralne poszukują prawdy o jakiś niezujących już, ale w swoisty sposób znaczących postaciach, np. „Osoba” Tadeusza Holuja.

Wszystkie te realizacje, włącznie z powieścią Jasińskiego, stawiają sobie za cel odkrycie rzeczywistych tradycji współczesności. Coś się w nas wyjął — powiada Janusz Hubicki, bohater „Na spalonym miłości” — nie tylko w moim pokoleniu. Gdzieś są luki i całkiem duże wyrwy, które zamiast uzupełnić tym, co właśnie uchłaniałem [dokumenty archiwalne — BSK], zasypany dotąd pustostanem i pogardą dla dawnego. Spozstrzegłem w sobie jednak nie tylko te małe zasklepienie pełnienia. Były we mnie jeszcze szczeliny nie wypełnione tym młodym, bo w nadmiarze szafowanym miodem, otwarte na taką właśnie luksusową dziś wiedzę. Wspomniana modyfikacja dotyczy sytuacji historycznej ojca i psychicznej syna: w przytoczonych przykładowo powieściach ojciec lub inna osoba, o której szukano prawd, umieszczony był w pozytywnym porządku wartości: młody historyk w „Osobie” pisał o lewicowym działaczu hitlerowskiego podziemia, socjolog w „Szarej aureoli” stracił ojca w porachunkach między podziemiem a tymi, którzy odważyli się brać ziemie z reformy rolnej, itp. U Jasińskiego przeciwnie: Janusz Hubicki jest synem straconego w lutym 1947 roku (gdy bohater miał 5 lat) bandziora, zabójcy m.in. żony i syna swego najbliższego sąsiada, wójta i członka PPR Podhajskiego. Gnany „złą sławą”, zmienia miejsce zamieszkania, nazwisko, zaś podjęcie uwieńczonego doktoratem studiów nad ugrupowaniem „Maria”, w którym działał jego ojciec, zawdzięcza przypadkowi, przyjmowanemu początkowo z oporem: po propozycji docent Wojdanowej, której zależało na szczególnym uwypukleniu tej sprawy, był bliski wycofania się. W ostatnim rozdziale, kiedy świeżo upieczony doktor w domku letniskowym swojej promotorki bez skrupowania sięgnął po luźne wiązadło piaszcza kąpielowe-

go i zaraz poczuł ją przy sobie taką, jakiej dawno pragnął, okazało się, że Wojdanowa jest córką Podhajskiego, z którą doktorant bawił się codziennie do owego fatalnego dnia, a która dziwnym kaprysem jego ojca nie została zabita.

Wydaje się jednak, że to uzupełnienie wątku głównego o wątek romansowy, z powołaniem się zarazem na szekspirowskie tradycje (Dzieci Kapuletów i Montekich. Jesteśmy jak niegdyś Romeo i Julia — powiada pani docent) nie wyszło powieści na dobre. Nie zdołał bowiem autor przekonać czytelnika o autentyczności przeżytych konfliktów. Nie sądzę bowiem, by dla jego ukazania potrzebne było tak obszerne i drobiazgowo streszczanie aktu procesu Łukasza Hubisza: zajmuje to około 100 (nie licząc bardziej interesujących retrospekcji Hubickiego, w których stara się on przypomnieć sobie jakieś zdarzenia uczulające ojca) na 206 stron powieści. Tak obszerna relacja, być może potrzebna w powieści o innych celach artystycznych i poznawczych, sprawia, że bohater sytuuje się — mimo wysiłków autora — jakby na zewnątrz relacjonowanych spraw, że nie wierzymy mu, jakoby je przeżywał. Propozycje te usuwają również w cień cały dramat życia człowieka napiętnowanego „złą sławą”, który można było pokazać właśnie poprzez owe retrospekcje. Nie wychodzi to również na dobre wątkowi „szekspirowskiemu” i sprowadza go do zwykłej przygody na delegacji (doktorant, dyrektor szkoły w Rohatnicach przebywa w Lublinie właśnie na delegacji).

Myślę, że owa kontaminacja wątków i związane z nią niepowodzenia artystyczne spowodowane zostały zbyt dużym zawierzeniem przez autora pewnej formule realizmu, którą nazywałbym realizmem z kluczem. Bo trudno oprzeć się, czytając pierwszą stronę powieści Jasińskiego, wrażeniu, że jest to powieść z kluczem. Znajdujemy tu nazwiska trzech powieściowych profesorów: Zabudy, Toperskiego i Kuczaka. Rzecz ma miejsce w Poznaniu, a na tamtejszym uniwersytecie rzeczywiście działają profesorowie Labuda, Topolski i Łuczak. Powstaje więc pytanie, które pozostanie raczej bez odpowiedzi: czy niedokładne zatarcie śladów miało charakter przypadkowy czy zamierzony? I w kontekście: czy ingerencja w świat rzeczywisty, która jest nieodłącznym atrybutem sztuki pisarskiej, odbywa się jeszcze w ramach licentia poetica czy ją przekracza?

Dodać zresztą trzeba, że ten typ

realizmu, by uchylił postawione wyżej pytanie, wymaga, by opisywane sytuacje miały charakter typowy. Tymczasem w powieści Jasińskiego panuje pod tym względem pewne niezdecydowanie: z jednej strony relacje z akt sądowych noszą cechy typowych, by nie powiedzieć schematycznych. Nie rewiduje w nich Jasiński dotychczasowych ustaleń (nasuwa się pierwsze z brzegu odniesienie: „Twój brat zbior” Zbigniewa Żabuskiego), dotychczasowych podziemia, jego genery, inspiracji, funkcjonowania, sposobów działania. I z drugiej strony: pojawiają się w powieści momenty raczej egzotyczne, zwłaszcza jeśli idzie o środowisko naukowe.

Oto zimą historyków, specjalistów od historii najnowszej, jest rozproszenie archiwaliów, pociągające za sobą nieustanne podróże. Tymczasem w Lublinie jest wszystko na miejscu, sfotografowane, opisane itp. Być może, docent Wojdanowa, osobiście zainteresowana w dziejach „Maril”, wykorzystala wszystkie możliwości, żeby materiał ten zgromadzić. By jednak tego dokonać, musiała mieć w instytucie wiele do powiedzenia. Nie wydaje się to prawdopodobne. Oto Wojdanowa była ze specjalizacji i doktoratu mediewistą. Habilitowała się zaś z historii najnowszej. Niby nie dziwne, ale jeśli się weźmie pod uwagę etos środowiska i wiek pani docent, sprawa komplikuje się. Albowiem w środowisku, nie tylko historyków, panuje kult fachowości, specjalizacji, i wszelkie wysiłki poza własny ogródek przyjmowane są z niechęcią. Innymi słowy: mediewista biorący się za współczesność narazi się na to, że nie będzie traktowany poważnie. Zwłaszcza w tak młodym wieku jak 40-letnia Wojdanowa.

Oczywiście, przypadku Wojdanowej nie można wykluczyć i przy sprzyjających układach jest on możliwy. Ale jednocześnie w ramach świata przedstawionego w „Na spalonym miłości” spełnia on rolę destrukcyjną, obnaża „fotograficzne” przywiązanie powieści do świata rzeczywistego, który dostarcza klucza do „otwarcia” utworu.

Oto powody, dla których powieść Jasińskiego odkłada się z uczuciem niedosytu. A jednocześnie jeszcze jedno negatywne doświadczenie tradycyjnej formuły realizmu. Być może, że gdyby Jasiński zechciał rozpocząć powieść w tym momencie, w którym ją zakończył i pomieszczył w niej te tragiczne dzieje, które były udziałem Dobrosławy Wojdanowej i Janusza Hubickiego, odrzucił formułę powieści z kluczem, otrzymalibyśmy ważny komentarz do współczesności.

Bogusław Sławomir Kunda

Tadeusz Jasiński, Na spalonym miłości, Wydawnictwo Lubelskie, 1990.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 50 LATY

● **PRZY ULICY KOŚCIUSZKI** istnieje sklepik, na szyldzie którego widnieje szumny napis „Włoskie lody”. Społeczeństwo polskie, nie zastanawiając się głębiej nad wyrobem „włoskich(?) lodów”, tłumnie popiera naleciałość zagraniczną, obok zaś, pod tymże numerem i na tejże ulicy, istnieje cukierkarnia p. Łakomskiego, na szyldzie której brzmi napis „Polskie lody” — mimo to nie cieszy się tak licznym powodzeniem, jak wspomniany włoski sklepik. Nasuwa się przykry wniosek: czy nigdy nie odwyknijemy od popierania firm zagranicznych? Mimo że w firmach polskich otrzymujemy produkty nie gorsze a nawet lepsze!

● **ZDARZAJĄ SIĘ U NAS RZECZY**, w które trudno nieraz uwierzyć. Jak np. wytłumaczyć ten fakt? Działo to się kilka dni temu w Strzyżowie. Droga przez wieś pędził samochód ciężarowy. W pewnej chwili szofer widzi przed sobą maszyną na drodze jakiegoś człowieka, sygnał jeden, drugi. Nie pomaga. Co więcej, człowiek ów, miejscowy dygnitarz, daje znaki do zatrzymania się. Szofer zatrzymuje maszynę w nadziei, że jegomość ten ma coś do powiedzenia. Jakże jednak było zdumienie szofera, gdy usłyszał „proszę stać, aż ja przejdę”. Można się z tego śmiać, ale można to poważnie komentować. Bo co?

mogłoby się stać, gdyby szofer samochodu nie zatrzymał. Chyba łatwiej zatrzymać się człowiekowi, niż samochodowi. A co by powiedział ów dygnitarz, gdyby tak przed jego samochodem ktoś stanął i kazał zjechać, aż przez drogę przejdzie?

● **NA PRZYSTANKACH** autobusów miejskich znajdują się tablice z odpowiednimi napisami. Niektóre z nich mają napis: „Przystanek autobusowy na żądanie publiczności”. To na „żądanie publiczności” powoduje jednak widocznie pewne nieporozumienie. Zdarzają się bowiem podobno takie wypadki, że autobusy stają na takich przystankach „na żądanie” jadących już pasażerów, gdy zaś ktoś czeka na przystanku i daje znać do zatrzymania się, obsługa autobusu, nie zwraca na to uwagi. Zdaniem naszym, owo „na żądanie publiczności” odnosi się i do tych, co już jadą i chcą wysiąść, i do tych, co chcą autobusem pojechać. Zarząd Komunikacji Miejskiej winien odpowiednio o tym poczynić obsługę autobusów.

„Głos Lubelski”

Wybrała: Anna Orzechowska

Deformują nas formuły.
St. J. Lee

Komenu str. 9

PRZED 97 LATY

● **W UBIEGŁY PIĄTEK** o godz. 2.30 po południu jeden z uczniów gimnazjum, powracając ulicą Bernardyńską, spotkał na swej drodze jakąś służącą, przy której biegł pies, a ta spostrzegłszy ucznia, odezwała się do psa: przywitaj pana. Na te wyrazy pies rzucił się i skaleczył ucznia w rękę tak silnie, że pomimo udzielenia natychmiastowej pomocy lekarskiej, rana dłuższej kuracji wymaga. Jakkolwiek wiadomo podobno z jakiegoś domu pies wychodził, dotychczas nie zdołano wykryć służącej, która dopuściła się do tej zabawy, warto by jednak ją odnaleźć i podobnych żartów odczytać.

„Gazeta Lubelska”

Anty-UFO

Edward Maruszak

27 LISTOPADA 1944 roku amerykański bombowiec B-27, powracający z rajdu bombowego na cele znajdujące się na terenie hitlerowskich Niemiec, napotkał nad Speyer wielkie pomarańczowe światło, wznoszące się ku górze z prędkością wynoszącą w przybliżeniu 800 km na godzinę. Kiedy pilot zameldował o swoich spostrzeżeniach i zażądał dodatkowych danych od sektora radarowego, uzyskał odpowiedź negatywną, ponieważ ekrany radarowe niczego nie zarejestrowały.

Obiekt widziany przez powracający bombowiec był tylko pierwszym spośród wielu innych, z jakimi zetknęli się piloci amerykańscy nad objętymi wojną Niemcami i które szybko ochrzczili mianem „foo-fighters”.

W miesiąc później piloci myśliwcy Falls i Baker, z 415 eskadry, donosili w swoim raporcie o podobnym spotkaniu zmuszając ministerstwo lotnictwa do przyznania, iż takie obiekty mogą realnie istnieć. Dalsze spotkania z „foo-fighters” doprowadziły ekspertów do przyjęcia tezy, że obiekty te stanowiły nowy wynalazek niemiecki, przeznaczony do udaremnienia działania urządzeń radarowych.

W jakim stopniu ich domysły były bliskie prawdy, dowiedzieli się dopiero po zakończeniu wojny, kiedy połączone zespoły wywiadowcze alianckich państw rozpoczęły badania tajnych wytwórni, fabryk i laboratoriów nazistowskich. „Foo-fighters”, obserwowane przez alianckich pilotów, stanowiły tylko niewielką część wśród ogromnej różnorodności metod i środków stosowanych przez hitlerowców do wprowadzania zakłóceń radarowych i zaburzeń pola elektromagnetycznego.

Prace Niemców na temat antyradarowej „Feuerball”, czyli ognistej kuli, zostały znacznie przyspieszone jesienią 1944 roku w ośrodku eksperymentalnym Luftwaffe w pobliżu Oberammergau w Bawarii. Tam oraz w zakładach aeronautycznych w Wiener Neustadt wyprodukowano pierwsze kule ogniste. Później, kiedy wojska radzieckie zbliżyły się do Austrii, zakłady te zostały przeniesione do Czarnej Lasu.

Szybkie, zdalnie sterowane kule ogniste, wyposażone w lampy kłistronowe, pracujące na tej samej częstotliwości, co i alianckie radary, mogły eliminować z ekranów radarowych wszystkie impulsy, wskutek czego były zupełnie niewidoczne dla naziemnych radarowych punktów obserwacyjnych.

Nazistowskie „Feuerball” nie przeszkodziły w ofensywie powietrznej alianckich. Zostały użyte zbyt późno i nie mogły już wpłynąć na przebieg wypadków, natomiast same w sobie były zdarzeniem bardzo istotnym nie tylko dlatego, że stanowiły rezultat rozwoju techniki, który prowadził do wyprodukowania niebezpiecznych broni, lecz także dlatego, że wskazywały, iż nazistowska technologia była w tym zakresie znacznie bardziej zaawansowana, niż wywiad aliancki nawet mógł podejrzewać.

W miarę, jak zbliżała się klęska Niemiec, hitlerowscy przywódcy coraz częściej wracali myślą do projektu opracowanego przez gaulera Franza Hofera, który był Wysokim Komisarzem Włoskiego Tyrolu i Południowych Alp. Projekt przewidywał budowę fortyfikacji „nie do zdobycia” w górach, obejmującej pewien obszar Alp na pograniczu Włoch, Austrii i Bawarii.

Hofer przedstawił swój plan adiutantowi Hitlera, Martinowi Bormanowi, w listopadzie 1944 roku, ale przygotowywał się na tę chwilę znacznie wcześniej, bo już w roku 1938, kiedy hitlerowscy agenci starannie nanosili na mapy wszystkie górskie przejścia, jaskinie, mosty, autostrady i przygotowywali miejsca pod budowę podziemnych fabryk, magazynów amunicji, żywności i części-zapasowych. Aby zakończyć prace nad budową tych fortyfikacji, Hofer zażądał pomocy w formie pracy niewolniczej ćwierć miliona więźniów oraz olbrzymich ekip austriackich robotników i tyrolskich sił samobrony. Tak zwane fabryki - U miały być zbudowane pod ziemią jako gigantyczne warsztaty, płyty wyczułki rakietowych oraz pomieszczenia i wyrzutnie dla tajnych broni, których celem było odwrócenie losów wojny na korzyść hitlerowców.

Wśród inwestycji znalazło się około 70 tuneli rozmieszczonych wzdłuż jeziora Garda w północ-

nych Włoszech, które miały być przystosowane i przekształcone w obszerny „Zakład Montażowy” przez firmę Fiat z Turynu, w ścisłej współpracy z ministerstwem kierowanym przez Alberta Speera. Siedem innych tuneli, rozmieszczonych w pobliżu jeziora Garda koło Limone, miało być przeznaczonych do produkcji broni specjalnych, wypróbowanych przez Instytut Hermana Goeringa w Riva del Garda.

Według archiwów niemieckiego Naczelnego Dowództwa oraz archiwów alianckiego Podkomitetu do spraw Połączonych Służb Wywiadowczych — inne fabryki znajdujące się na żywotnych obszarach środkowych Niemiec, oznaczone kodem M-Werke, miały produkować potężne pociski kierowane, jak gigantyczne A.9 i A.10, przeznaczone do zniszczenia Nowego Jorku, Waszyngtonu i innych miast amerykańskich.

Najważniejszy był jednak obszar alpejski, ponieważ właśnie stamtąd miały nadejść najdoskonalsze środki walki.

Gdy szary, marcowy deszcz powoli lecz uparcie zalewał Württemberg, skrzydło latających fortów wracało na macierzyste lotnisko z pomyślnie przeprowadzonego rajdu bombowego. Nagle spora chmur i deszczu wyskoczył dziwny statek powietrzny, zataczając szeroki łuk na dużej wysokości wokół powracającej grupy bombowców. W trakcie zataczania kręgu wokół zaskoczonych samolotów ten statek powietrzny, zupełnie okrągły, pozbawiony jakiegokolwiek widocznej jednostki napędowej, wyrzucił kilka błękitnych obłoków. Obłoki te ruszyły w kierunku amerykańskich samolotów, które natychmiast eksplodowały. Ten raport, napisany przez francuskiego dyplomata, nigdy nie uzyskał pozwolenia na opublikowanie. Został on skierowany do Kwatery Głównej Wywiadu Wolnych Francuzów w Algierze. Donosił o „błękitnych obłokach” jako o czymś zbliżonym do pocisków przeciwlotniczych bazujących na gazie kopalnianym (metanie), który był również skutecznie stosowany przeciwko innym bombowcom przelatującym nad jeziorem Garda.

Raport został przechwycony przez agentów wywiadu włoskiego i odszyfrowany w Kwaterze Głównej SID (włoskiego kontrwywiadu) w Castiglione della Stiviere. Informacje te zostały później odnalezione przez komórkę wywiadu wojskowego USA, operującą na terenie działania VIII Armii we Włoszech. Treść informacji nie stanowiła dla alianckich nowości. Już nieco wcześniej, wkrótce po bombardowaniu Drezna, wywiady brytyjski i amerykański otrzymały krótki raport dotyczący użycia tej dziwnej broni przeciwko grupie dwunastu amerykańskich bombowców. Informacja nadeszła od agenta w Szwajcarii, związanego z zespołem Allana Dullesa i stwierdzała, że atakującym był dziwny półkulisty obiekt, który latał z fantastyczną szybkością i zniszczył bombowce bez użycia broni palnej.

Następnie, po kapitulacji Niemiec w maju 1945 roku, zespół agentów brytyjskich badających kartoteki dotyczące pewnych podziemnych fabryk, umieszczonych na terenie Czarnej Lasu, odkrył, że wielka liczba dokumentów dotyczyła ważnych eksperymentów przeprowadzanych z ciekłym tlenem stosowanym do nowych silników turbinowych zdolnych do rozwijania nadzwyczajnej mocy.

Inne dokumenty opisywały zastosowanie gazowych materiałów wybuchowych, które były testowane już w roku 1936 w Austrii, a ich istnienie zostało później potwierdzone przez misję ALSOS oraz przez dr. Hansa Friedericha Golda z Laboratorium Badań Aeronautycznych w Volkenrode. Zagadnienie wystrzelania gazowych materiałów wybuchowych stanowiło część programu badawczego, którym zajmowali się naukowcy niemieccy pracujący w zakładach nad jeziorem Garda; gazy te były następnie pomyślnie wypróbowywane, przy użyciu półkulistych obiektów latających, przeciwko alianckim bombowcom. Te obiekty latające w niemieckich kartotekach i dokumentacji wojskowej miały już swoją nazwę operacyjną — „Kugelblitz”, tzn. „Piorun-kulisty”.

Długotrwała i bliska współpraca pomiędzy Korpusem do Badań Lotniczych SS, austriackimi ośrodkami badawczymi w Wiedniu, zakładami lotniczymi Hermana Goeringa oraz ogromnym zespołem podziemnych zakładów G doprowadziła do ogromnego ulepszenia „piorunów kulistych”, które pierwotnie, pomimo swej antyradarowej efektywności, pozostawały bronią stosunkowo nieszkodliwą. Śmiertelnie groźnym „Kugelblitz” stały się dopiero przez połączenie zasad działania samolotu z kulistą, symetryczną płaszczyzną o bezpośredniej stabilizacji żyroskopowej, zastosowanie wyrzutowego działka strumieniowego na pociski gazowe i napędu galaretowatym paliwem metaloorganicznym przy użyciu turbiny reakcyjnej o całkowitym sprężaniu, dodanie do tego zdalnego sterowania, urządzenia wyszukującego pracującego na podczerwińcu oraz elektrostatycznego systemu odpalania. Całość stanowiła zwartą kulistą konstrukcję, która nie przypominała żadnego z dotychczas budowanych obiektów latających.

„Kugelblitz” wraz z dalszymi odmianami kul ognistych, bombami o kształcie soczewkowatym i podobnymi bronią rozpoczęła prawdziwą historię UFO.

Agenci jednostek „T” armii brytyjskiej, stacjonującej w Bad Gandersheim, przebadali starannie dokumenty znalezione w zakładach G, opracowane przez sekcję techniczną sztabu generalnego SS i zespół kontroli technicznej zakładów Henschel i Zeppelin. Dokumenty dotyczyły urządzeń napędowych prototypu „Kugelblitz”, zbudowanego przez Kreislaufbetrieb Motor D. W. w 1943 roku dla Forschungsinstitut für Kraftfahrt und Fahrzeugmotoren w Stuttgarcie pod kierunkiem profesorów Kamma i Ernsta. Brytyjczyki nazwali ten silnik „systemem obiegu tlenowego”. Był on później przez Niemców zarzucony na korzyść turbiny Waltera, napędzanej za pomocą nadtlenku wodoru. Znalezione dokumenty rozważały jednak możliwość użycia obydwu systemów w jednej, zwartej jednostce napędowej.

Zaraz po wojnie Brytyjczycy pozwolili niemieckim naukowcom doprowadzić do końca ich prace w Niemczech, tam, gdzie do tej pory prowadzili swoje badania w czasie wojny, w Darmstadt i Goettingen. Później instalacje rozmontowano i służba transportowa brytyjskiego Ministerstwa Lotnictwa dyskretnie przewiozła okrętami niemieckimi naukowców, instalacje i dokumentację do Wielkiej Brytanii, Kanady i Australii.

W następnych latach zespoły naukowców angielskich i niemieckich pracowały nad szeregiem niemieckich projektów, wykorzystując je do brytyjskich eksperymentów w dziedzinie lotnictwa, szczególnie prace dwóch niemieckich naukowców z czasów wojny, profesorów Prandtl’a i Busemana, dotyczące budowy zupełnie nowego typu samolotu myśliwskiego o wielkiej szybkości.

W roku 1946 BBC podało wiadomość, że Wielka Brytania wkrótce dysponować będzie samolotem o szybkości przekraczającej 2000 km/godz. i że według niektórych ekspertów samolot ten został już zbudowany, zaś w najbliższej przyszłości będzie on zdolny oblecieć kilka razy wokół ziemskiego globu, ponieważ paliwo jest mu potrzebne wyłącznie do wystartowania i do lądowania.

Tylko w roku 1946 brytyjskie Ministerstwo Finansów, które przejęło prace Ministerstwa Badań Naukowych Lotnictwa, zażądało przydziału funduszy na „badania naukowe” w wysokości 28 000 000 funtów szterlingów. Brytyjska „Biała Księga” stwierdza, że budżet przyznany Ministerstwu Finansów wynosił 30 000 000 funtów i że dalsze 100 000 000 zostało przyznane Ministerstwu Lotnictwa.

„London Daily Herald” z 15 stycznia 1955 roku doniósł, że W ciągu ostatnich trzech lat Rząd zarezerwował budżet w wysokości 3 miliardów funtów szterlingów dla RAF-u. Suma ta została wydana, ale bez jakichkolwiek widocznych śladów inwestycji...

W roku 1959 inżynier lotnictwa N. S. Currey pisał: *Dzisiejsza Kanada zalicza się do najbardziej rozwiniętych mocarstw lotniczych świata i następnie dodał ostrożnie: odnosi się to przede wszystkim do dziedziny napędów odrzutowych.*

Dział kartografii kanadyjskiego Departamentu Kopalni i Pomiarów Technicznych zarezerwował ogromny obszar 125 000 mil kwadratowych dla celów produkcji samolotu eksperymentalnego. Była to jedna z decyzji powziętych na konferencji krajowej Commonwealthu w dziedzinie badań lotniczych i przestrzeni kosmicznej. Ten odludny, mocno zalesiony i górzysty region pomiędzy brytyjską Kolumbią i Albertą stanowi idealny obszar dla tajnej produkcji — niewiele, latwych do kontrolowania dróg, nieliczne zamieszkałe osady oraz niewiele linii kolejowych, natomiast doskonała komunikacja na północy i na południu.

Wielka Brytania posiadała znaczne doświadczenia w tego rodzaju przedsięwzięciach. W roku 1942, u szczytu niemieckiej ofensywy powietrznej, RAF zbudował pięć tajnych lotnisk w samym sercu New Forest w Hampshire. Ciekawą rzeczą w tych wszystkich instalacjach był fakt, że obejmowały one także kompletne zakłady przemysłowe, których działalność niezbędna była dla wojennej produkcji. Nazywano je „zaciemnionymi warsztatami”. Niemcy także mieli duże doświadczenie w tej dziedzinie. Jedną z ich większych fabryk w Volkenrode oparta się wszelkim próbom identyfikacji z powietrza przez cały okres wojny.

Wszystkie te poszlaki i dowody, wszystkie zdobyte technologiczne brytyjskiej nauki przed, podczas i po wojnie, połączone z ogromnym postępem i rozwojem wiedzy w zakresie środków i urządzeń napędowych, a także szereg niemieckich oryginalnych odkryć na temat napędu samolotów, opartych na osiemnastoletnich badaniach naukowych, a ukrytych w najtajniejszych dokumentach minionej wojny, przekonują o jednej rzeczy. Mianowicie, że latające spodki nie pochodzą z przestrzeni kosmicznej. Pochodzą one z obszaru znajdującego się w odległości kilkuset kilometrów od granicy Stanów Zjednoczonych i Waszyngton wie o tym doskonale. Dlatego też istnieje jeszcze dosyć dawna i do tej pory obowiązująca dyrektywa dla pilotów myśliwców pościgowych Stanów Zjednoczonych, dotycząca UFO: *Przechwyć, lecz nie strzelać do nich!*

(Przygotowano m. in. na podstawie wywiadu przeprowadzonego przez „Argosy” z inż. Renato Vesco, specjalistą w zakresie lotniczych silników strumieniowych. Ukończył on studia na uniwersytecie w Raymie, a przed drugą wojną światową studiował i pracował w Niemieckim Instytucie Badań Lotniczych. Podczas wojny pracował wraz z niemieckimi uczniami przy tajnych włoskich instalacjach w pobliżu jeziora Garda należącego do firmy Fiat. Obecnie jest pracownikiem włoskiego Ministerstwa Obrony jako ekspert do spraw UFO).

Wprost wierzyć się nie chce, że szczególnie nie są zazwyczaj znane ogółowi.

St. J. Lec

POCZTA literacka



Krzysztof M. Turzeróg. „Chciałbym w tej wakacyjnej nudzie coś przeczytać o sobie” — taka jest konkluzja listu polecającego zestaw wierszy. Rozumiem pańskie pragnienie „przeczytania czegoś o sobie” w piśmie. Nie mogę w tym momencie powstrzymać się od uwagi, iż z podobnych pragnień — przeczytania lub usłyszenia o sobie — brały się sprawy i czyny nieskończenie gorsze w skutkach niż pisanie wierszy. Oceniając z tej właśnie perspektywy nadesłane utwory, stwierdzam co następuje: lepiej pozostać przy fizyce, zwłaszcza, że to dopiero drugi rok studiów i wielkie obszary niewiedzy — jak sądzę — powinny kusić Pana pragnieniem poznania. Powyższe słowa podyktowały mi moje zadawane kompleksy wobec tej dziedziny nauki: w gimnazjalnej młodości marzyłem o studiach na wydziale fizyki, czego w żaden sposób nie udało mi się pogodzić z ewidentnym brakiem uzdolnień. Jakże Panu zazdrości!

Janusz S. Wrocław. Z tej przesyłki widzę tylko „Statek-widmo”, choć i tu ów statek potyka się o mielizny i rodzaju: „dni są podobne do obłoków”, „fale w mroczny sen biorą” czy też „jasne westchnienie księżycy”. Zatrzymuję mimo wszystko do druku, choć zastrzegam, iż powyższa obietnica staje się ostatnio czekiem bez pokrycia — zbyt wielu osobom zadeklarowałem w ostatnim okresie to samo, po czym nastąpiły znane powszechnie fakty odchudzenia pism. W związku z tym, że pańskie wiersze zostały w ub. roku zgubione w redakcyjnym młynie, proszę Pana o przyspieszenie druku obecnych. To również nie jest zobowiązanie; mógłbym wprowadzić opatrzność Pański utwór znakiem „Q” czy „super-extra-selekt” lecz musiałbym mieć poczucie winy. Tymczasem wiersze zaginęły za panowania mojego poprzednika, a jak Panu wiadomo z ostatnich czasów, ciągłość władzy i odpowiedzialności praktycznie nie istnieje i każdy następny władca o chęci zwała winę na poprzednika. Nie jestem wyjątkiem.

Bogusław D. Kraków. Wiersze kładę do teki z napisem „Do druku”. Znam nazwisko z kilku prasowych publikacji, lecz przysłań tylko trzech utworów, to ultimatum, bez wyboru. A właśnie „Chciałbym wiedzieć” trochę odstaje od dwóch pozostałych. Co sądzi Pan o debiucie w „Kamieniu” w roli recenzenta? Szczegóły do uzgodnienia.

Tadeusz P. Rybnik.

Listek szczawiu kropką rosy pokarmem jest moim marna wizja przyszłości. Bezskutecznie szukam winnych to ja sam.

Mając 19 lat nie można obarczać siebie winą i cierpieniem „za miliony”. Menu składające się ze szczawiu i kropielek rosy, to rzeczywistość „marna wizja przyszłości”. Doradzam: popraw diety, więcej ruchu, jak najmniej wierszy. Winni znajdują się sami.

Beata P. Lublin. Jesień napawa smutkiem i melancholią, poczuciem samotności i przemijania. Niech tylko to zdanie, w takim czy innym kształcie graficznym włączyć do wiersza, powieże straszliwym banałem. Taka jest różnica między prozą i poezją. Pani tej różnicy nie dostrzega, z fatalnym skutkiem dla poezji.

H. P.

OKOLICE SZTUKI

Zamoyski i awangarda

AWANGARDA pod znaku konstrukturyzmu, kubizmu i futurizmu zdobywała teren: urządziła wystawy i skandalizujące imprezy innego rodzaju, wydawała własne czasopisma, zyskiwała zwolenników wśród publiczności. Awangarda kipiała z malowanych opowieści, ze sztuki symbolicznej, kwestionowała ideę twórczości przedstawiającej widoki dookoła świata, proponując w zamian kult estetyki funkcjonalnej, opartej na urodzie nowoczesnej maszyny. Awangarda nie cierpiała żywszych emocji, sentymentów, uniesień lirycznych, przedkładając nad to wszystko racjonalność, ekonomiczność i matematyczny obiektywizm. Było to w połowie lat dwudziestych.

W tym samym czasie, dokładnie w 1925 roku, studenci warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych zawiązali ugrupowanie artystyczne pod nazwą „Bractwo św. Łukasza”, które lekką dłonią zaczęło malować i rysować właśnie takie rzeczy, jakie wyklinali Strzemiński czy Szczuka, a zatem: portrety, pejzaże, historyczne sceny figuralne i dekoracyjne malowidła ścienne w sklepach, np. fabryki Wedla i innych wnętrzach powszechnej użyteczności. Na dodatek członkowie grupy głosili pochwałę rzetelnego, tradycyjnego warsztatu malarskiego, stosowali receptury średniowieczne i renesansowe, sięgając nawet do portretów fajumskich i do egipskiej en-

kaustyki. A przybierając wspomnianą nazwę, także kierowali się sentymentem do przeszłości, kiedy to św. Łukasz patronował cechom malarzy w gotyckich miastach. Chwalił taką twórczość Antoni Słonimski („malują jak diabły, jak stare majstry, jak młode bogi”), o cofaniu się i „podrabianiu starych mistrzów” mówił natomiast z przekąsem Tytus Czyżewski, artysta jeszcze związany z awangardą, ale już sposobiący się do wystąpienia z tej partii na rzecz wdzięcznego koloryzmu.

A jednak, patrząc na to wszystko po latach, odnosi się wrażenie, że w pewnym punkcie programy i praktyka antagonizujących formacji były zbliżone. Awangarda, a przynajmniej jedna z szerokiach tendencji w jej obszarze, pragnęła kształtować materialną sferę ludzkiej codzienności, projektować i produkować rzeczy użyteczne: od architektury do krzesła czy szklanki. „Bractwo św. Łukasza” rzadko tworzyło „sztukę dla sztuki”, właściwie zawsze pracowało na zamówienie.

Oto Jan Zamoyski, prezes ugrupowania, od chwili jego powstania do 1939 roku. Na studiach i nieco później malował w Kazimierzu nad Wisłą świetne portrety mieszkańców miasteczka, które — urodzony w 1901 roku — do dziś odwiedza. Pełnym, realistycznym, walorowym modelunkiem utrwalił na przykład piękną twarz ślepego żebraka Kozdronia, często malował żonę „Oleksię”. Przypadkowo wypatrzywszy na Rynku innego biedaka o dumnej twarzy, Szymona Pałkę z Opola Lubelskiego, skłonił go do pozowania, czego jednym z wartościowych rezultatów okazał się obraz pt. „Wylazący z ramy”, który można zresztą uznać za pierwszą u nas próbę malarstwa autotematycznego.

Wiele wskazuje na to, że były to płótna wykonane na wystawę, dla własnej satysfakcji artystycznej. W późniejszych latach Zamoyski pracował przede wszystkim na zamówienie,

EKRAN I WIDZ

Kowboje na spalonym

CO tu ukrywać: wraz ze śmiercią Johna Forda i Howarda Hawksa skończyła się epoka prawdziwego westernu. Cóż z tego, że przez wiele lat usiłowano western odnowić, współczesnić, uaktualnić, że stworzono „westerny psychologiczne” i „antystwesterny”? „W samo południe” Freda Zinnemanna, „15.10 do Yumy” Delmera Davea i inne były wszak ciągłym odniesieniem do żyjących i wciąż kręcących kolejne opowieści o złych i dobrych kowbojach, nieugiętych „klasyków”.

„Ostatni kowboj”, Kirk Douglas, mógł sobie jak najefektywniej skończyć pod sterą przywalających go muszli kłozetowych, które wypadły na niego i jego konia z rozbitej ciężarówki, ale reżyser filmu zadawał sobie przede wszystkim pytanie, na ile ta scena sprostą niezapomnianym obrazom z „Dylizansu”, „Rzeki Czerwonej” czy „Rio Bravo”. Można było mnożyć w

nieskończoność historie starające się przeniknąć na samo dno psyche gentlemanów z coltami u pasa, ale czy zdolne były one zrównoważyć znajomość duszy ludzkiej Johna Forda unaocznioną w „Dylizansie”?

Zaskakujące, jak bardzo western „nowoczesny” czerpał siły z westernu „klasyk” i jak bardzo wątlwym tworem okazał się, gdy zabrakło starych mistrzów. Pewnie: hippisi z ich rewolucją moralno-obyczajową, współcześni włóczędzy-nieudacznicy ze swą filozofią bezustannej wędrówki przez kraj, sfrustrowani żołnierze wracający z wojny wietnamskiej, zręczni manipulatorzy działający za kulisami wielkiej polityki oraz kosmici interesujący się nieustannie naszą planetą przyczynili się również w walny sposób do wyparcia westernu z ekranów. Lecz nie ulega wątpliwości, że, niestety, wymarło pokolenie twórców, którzy western naprawdę rozumieli, bo po prostu wyznawali model życia swoich bohaterów.

Nie chodzi o to, ile jeździli konno po preriach, spali z kulakiem pod głową na gołej ziemi i żywili się mięsem bawolm. Natomiast większość z tych ludzi była w młodości żołnierzami, lotnikami, poszukiwaczami przygód, ich życie nie toczyło się w multiplietrowych miastach, lecz na otwartej przestrzeni. Ford, Hawks czy nawet Brooks przeżywali też, myśleli i czuli w sposób charakterystyczny dla obywateli Stanów Zjednoczonych z końca XIX i pierwszych dziesiątków lat XX wieku. I jeszcze jedno: starali się nigdy nie

traktować twórczość jako zawód — mający utrzymać. Jak każdy dotychczas szanujący się fachowiec, nie mógł przecież zbyt wiele gustom kołobratów, pozostał wierny własnej tylistyce, choć na pewno nie uniósł kompromisów. Z jego pracowni wyszło wiele portretów ludzi nauki i generałów, namalował też „Towarzysza Bochenka, przodownika pracy”, ale dopiero, rzecz jasna, w 1950 roku.

Znakomity rysownik i wrażliwy kolorysta, zrealizował ponadto Zamoyski szereg monumentalnych kompozycji ściennych: wraz z Bolesławem Cybisem fresk w warszawskim Wojskowym Instytucie Geograficznym, przedstawiający Bolesława Chrobrego wycieczającego granice państwa oraz olbrzymi plafon „Polskie niebo” w sali widowiskowej gimnazjum polskiego w Gdańsku, doszczętnie, niestety, zniszczony przez hitlerowców po wybuchu drugiej wojny. Projektował mozaiki dla Dworca Głównego w Warszawie. Należał do zespołu, który namalował siedem kompozycji historycznych do pawilonu polskiego i nowojorskiej Wystawy Światowej. I wojnie pokrywał polichromią kamieniczkę stołecznego Starego Miasta pomieszczenia Filharmonii Narodowej, PAN, Pałacu Kultury i Nauki.

Zamoyski i pozostali członkowie „Bractwa” pragneli życie nasze ozdobić i oznaczyć, środki do tego czerpiąc nieraz z tradycji artystycznej. Awangarda przeciwie: chciała stworzyć kulturowe otoczenie człowieka na nowo, posługując się metodologią i detalami nowoczesnej techniki, poddanej zresztą świętej sakralizacji. Co więc mogło łączyć te formacje? Taką zaryzykuję odpowiedź: pragnienie zaangażowania sztuki do robót publicznych, tworzących materialne i emocjonalne warunki ludzkiej codzienności.

Sam jestem zaskoczony tym pokrewieństwem, zauważonym dzięki wystawie Jana Zamoyskiego w Galerii Letniej Muzeum Kazimierza Dolnego, która czynna była w sierpniu.

IJK

KRONIKA

● Z okazji zbliżającej się 150 rocznicy powstania listopadowego w puławskim Domku Gotyckim (Muzeum Regionalne PTTK) otwarto wystawę malarstwa i grafiki, tematycznie poświęconą temu historycznemu wydarzeniu.

● Nowym dyrektorem Teatru im. Juliusza Osterwy został Ignacy Gogolewski. Kolejny swój sezon scena lubelska zainaugurowała „Odprawą posłów greckich” Jana Kochanowskiego.

● Jeden stracił, wielu zyskało — można skomentować przekazanie Muzeum Okręgowemu w Białej Podlaskiej przez Urząd Celný w Terespolu wartościowego zbioru 60 ikon, powstałych w większości na początku naszego stulecia, ale też w XVIII w. Po konserwacji — sporo ikon jest w podłym stanie — dzieła przechwycone podczas próby przemytu będą ekspozowane w radiwiłłowskiej kaplicy parkowej.

● 150 mln zł z Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia wydano w minionym pięcioletnim na potrzeby zdrowotne mieszkańców Lublina. Wiele spraw z tej dziedziny nadal jednak czeka na rozwiązanie, opóźnia się na przykład budowa szpitala przy al.

rozstawać z umiłowaniem przez nich gatunkiem filmowym.

Reżyserzy westernów nowoczesnych bardzo często traktowali podjęcie tematu z „Dzikiego Zachodu”, jako osobistą przygodę z westernem lub jako możliwość przemycenia własnych idei artystycznych, filozoficznych czy społeczno-politycznych pod płaszczykiem atrakcyjnego dla publiczności gatunku. Dlatego często ich dzieła pobrzmiwały, niezamierzenie, fałszywymi tonami.

Podobnie wydaje się być w przypadku ostatnio wprowadzonego na nasze ekrany filmu Alana J. Pakuli — „Przybywa jeździec”. Dlaczego ten znawca wielkiego współczesnego miasta i ludzi w nim żyjących („Klute”, „Syndykat zbrodni”, „Wszyscy ludzie prezydenta”) przeniósł się nagle na prerie Montany, wpisując w ich pejzaz „kowbojską” historię rozgrywaną się pod koniec drugiej wojny światowej?

Na dalekiej prowincji, gdzie dotychczas hodowano, jak tradycja nakazywała, stada bydła, zaczyna się nagle toczyć walka o odkryte tutaj „rodzime” tereny. Przybywają z wielkich miast ludzie, którzy gotowi są na zażośowanie wszelkich metod, łącznie z gangsterskimi, aby osiągnąć swój cel — ropę. Równocześnie ciągnie się skomplikowany wątek erotyczny. Wszystkie to utrzymane w mrocznej, przynębiającej tonacji zdjęciowej i dramatycznej. W sumie: coś z „Syndykatu zbrodni”, coś jakby z „Bunuela, film w założeniu ambitny, a przecież w efekcie chybiony, nudnawy.

M. D.

Krańskich, brakuje łóżków, domów dla przewlekłych chorych i rencistów, pielęgniarek środowiskowych.

● Powstały poważne opóźnienia w budownictwie mieszkaniowym i towarzyszącym Lublina. Wykonawcy twierdzą, że brak im cementu, prefabrykatów i stali.

Jestem za reprivatyzacją życia wewnętrznego.

St. J. Lec

Magia

Aleksander Mora

MAGIA najchętniej posługiwała się starymi, obcymi językami, które nadawały aktowi magicznemu tajemniczy i dostrajny charakter, dlatego przeważnie łacina i hebrajski lub ich mieszanki składały się na tekst zaklęć. Wertując księgi magiczne, spotykamy często zaklęcia, które wydają się bezsensownym bełkotem i stanowią stek nie znaczących dziwacznych wyrazów.

Magicznym kwadratem liczbowym odpowiadały magiczne układy słów. Sławny był w średniowieczu — i dziś nieraz bywa przytaczany magiczny napis:

S A T O R
A R E P O
T E N E T
O P E R A
R O T A S

Litery, czytane w kierunku poziomym i pionowym, w lewo i w prawo składają się na jedno łacińskie zdanie, które brzmi w przekładzie: „Siewca Arepo trzyma (toczy) kofa mocą”. Nie ma w tym wiele sensu, niemniej szukano nieraz w owym napisie wykwitu myśli „ezoterycznej” i komentowano tę igraszkę w sposób niezmiernie uczony. Formuła ta znana była już w starożytności i odnaleziona między innymi w gruzach zasypanego przez Wezuwiusz miasta rzymskiego Pompea. W medycynie ludowej średniowiecza zaklęcia tego używano zazwyczaj przeciw wściekłości. Inne zastosowanie znalazł dla niej książę sasko-weimarski Ernest August. Oto w roku 1743 polecił on zrobić serię talerzy z tekstem formuły Sator, miały one być środkiem przeciw pożarom w mieście i na wsi. Wydaje się, że ten kwadrat magiczny należy do grupy tych formuł archaicznych, które

przekazywane były od niezmiernie dawnych czasów, z pokolenia na pokolenie, a których sens stał się w miarę upływu czasu dla ludzi niezrozumiały.

Nie każdy mógł stać się uczniem sztuki magów. Ci, którzy chcieli jej się poświęcić, musieli najpierw przestoczyć się w niemal zupełnie nowych ludzi. Do tego celu służyły w starożytności inicjacje i wtajemniczenia. Nim dopuszczono adepta do najwyższych sekretów, najpierw wypróbowano jego charakter i odwagę oraz sprawdzano, czy goźdź jest posiąść to, co przekształca go w mędrcą.

Ale będąc już mędrcem, posiadłszy ową wiedzę tajemną, osiągał rzekomo (jak podaje pewien rękopis hebrajski z XVI wieku) możliwość ujrzania „oblicza boskiego”, rozmowy z „siemioma geniuszami dowodzącymi niebieską armią”, decydowania o swoim zdrowiu, życiu, szczęściu czy nieszczęściu, oglądania przeszłości, teraźniejszości i przyszłości oraz poznania tajemnicy wskrzeszenia zmarłych i klucza do nieśmiertelności.

Oprócz tych „prerogatyw większych” mag zdobywał także „przywileje mniejsze”, a mianowicie zdolność zglębienia duszy człowieka i poznania tajemnicy serca kobiety, umiejętność zmuszania natury do uległości, udzielania skutecznych rad i pociech, uleczenia chorych oraz zwalczania miłości i nienawiści. Adept mógł osiąść sekret bogactw i zostać ich panem, a nie niewolnikiem, potrafił jednak także kontentować się ubóstwem, lecz przy tym nie popadał nigdy w upodlenie i nędzę.

Zanim jednak prerogatywy te miały stać się jego udziałem, uczeń magów, jak powiada XIX-wieczny wielki adept magii, Eliphas Levi (pseudonim

francuskiego księdza Alfonsa Ludwika Constant), winien być pozbawiony namiętności, wstrzemięźliwy i czysty, nieprzenikniony i niedostępny bojaźni i przesądom. Ani przykrości, ani przeciwności losu nie mogły czynić na nim wrażenia. Osiągnięcie tej doskonałości było pierwszym i najważniejszym spośród zadań magicznych.

Eliphas Levi powiada (cytuje za St. Wotowskim): „Człowiek może się zmienić przez przyzwyczajenie, które staje się jego drugą naturą. Może się zmienić przy pomocy stałej i ciągłej gimnastyki psychicznej; zmieni ona nie tylko jego charakter, ale i światopogląd, tak jak ćwiczenia fizyczne zmieniają nasze ciało.”

Tak więc adept musiał ćwiczyć wolę i sam siebie poddawać próbom. W tym właśnie miejscu w starożytności następował pierwszy arkan inicjacji magicznej, którego wyjaśnienie odczytano wieloma straszliwymi próbami. Starożytni nie wierzyli w wołę adepta, dopóki nie widzieli jej namacalnych dowodów.

Zadaniem adepta było przewyciężanie pociągu do uciech, snu, pokonywanie głodu. Panowanie nad każdym drganiem swego ciała, obojętność na opinie świata. Maga nie przerażał sarkazm, ani nie radowało pochlebstwo. Siłą swego woli miał on się stać rodzajem magnesu przyciągającego wszystko co dobre.

Eliphas Levi we wstępie do „Dogme et Rituel de la Haute Magie” mówi: „Oczyszczenie maga polega na powstrzymaniu się od spożywania potraw mięsnych, na wykreśleniu ze swego życia napoi oszalamiających i na uregulowaniu godzin spoczynku. Zewnętrznym zachowuje on czystość jak największą. Starannie czyści ubranie i sprzęty, z którymi się styka. Wszelka bowiem nieczystość i niedbalstwo jest w magii zabójcze”.

Magia opierała się także na przekonaniu, że jednym z koniecznych warunków powodzenia wszelkiego rodzaju przedsięwzięć jest zachowanie tajemnicy, z tego też względu zakazywała swoim adeptom opowiadania i chwaleń się osiągnięciami czy zamierzeniami. Zalecała natomiast szczególnie adeptom początkującym, odosobnienie i powstrzymanie się przez jakiś okres od zbędnych znajomości w celu skupienia się i skoncentrowania woli i myśli. Zdawano sobie wprawdzie sprawę, że będą oni początkowo osamotnieni, zapewniano jednak, że później skupiona wola dzia-

łać będzie przyciągająca i spowoduje uzyskanie popularności.

Dopiero, gdy adept przewyciężył wszystkie pokusy i pokonał szczęśliwie wszystkie trudności, stawał się godnym tego, aby być uczniem mistrzów.

Jak wynika z powyższych rozważań, mag był rodzajem nadczłowieka, który przez koncentrację swej woli i uczucia oraz dzięki znajomości sposobów odpowiedniego kierowania nią, usiłował kierować słami przyrody i rozkazywać „demonom”.

Badając zarówno obiektywną, zjawiskową stronę magii, jak i jej rytuał, można zauważyć, że wszystkie zabiegi magiczne zmierzają do wytworzenia stanu quasi-hipnotycznego, zwięzienia świadomości oraz rozbudzenia podświadomości, co niekiedy pozwala na uzyskanie poznania paranormalnego lub uzyskania paranormalnej informacji (telepatia, jasnowidzenie), usposabia do halucynacji, a także, być może, stwarza warunki dla zjawisk telepatycznych, obserwowanych w dziedzinie mediumizmu. (Patrz: K. Boruń, S. Manczarski, „Tajemnice parapsychologii” Iskry, Warszawa, 1977 oraz L. E. Stefański, M. Komar, „Od magii do psychotroniki”, Wiedza Powszechna, Warszawa, 1980.). Mag, czarownik często bywał po prostu mag-netyzerem.

Z tego punktu widzenia patrząc, możemy zakreślić granice mocy magicznej, sprowadzić cuda magii do właściwego poziomu, ocenić rolę fantazji i złudzenia, sugestii i autosugestii w praktykach magicznych, procent autentycznych paranormalnych talentów, a także procent szarlatanerii i oszustwa.

Niemniej fakty magiczne istnieją. W obecnych czasach nauka coraz potężniej wkracza w dziedzinę parapsychologii i za pośrednictwem nowych dziedzin wiedzy, bioelektroniki, psychotroniki, stara się znaleźć dla dotychczas niewytłumaczalnych, choć obiektywnie istniejących zjawisk racjonalne uzasadnienie lub odszukać ich rzeczywiste naukowe jądro. Wydaje się, że realna, wysoka wiedza dawno zaginionych cywilizacji, przechowywana w tradycji oraz w formie szczątkowej w starożytnych tekstach, która na przestrzeni dziejów obrosła rytuałem magicznym i której sens już dawno przestał być rozumiany, znalazła się wreszcie w polu obserwacji świata współczesnej nauki.

C.d.n.

Bez inwestycji kura zdechnie

Obudzisz się nagle przy śpiącej kobiecie
nie poznasz jej twarzy
Opuszczasz to miejsce i w szarym wstąpisz dzień
Postawisz kołnierz kurtki na wiatr
Do pracy pierwsza zmiana będzie szła
Pójdiesz z nimi w brzask

Powyższy fragment tekstu — czy może wiersza — wyszedł spod pióra Marka Dutkiewicza, jednego z najbardziej utalentowanych autorów — czy może poetów — polskiej muzyki rockowej.

— Czy pańskim zdaniem istnieje pojęcie „poezja rocka”? — zapytałem Dutkiewicza.

— Ależ oczywiście. Poczynając od pierwszych tekstów Little Richarda, będących wspaniałymi, dosadnymi kawałkami literatury jarmarcznej (dla niewtajemniczonych w istotę szyfru, był to tylko bełkot w rodzaju „wham-bam-booo-loo-bam”), poprzez rock’n’rolle Chucka Berry’ego, przez „My Generation” The Who, aż po wyrafinowane liryki Jima Morrisona, drapieżną twórczość Dylana, czy niedoceniane na tle inwencji McCartney’a i Lennona songi Keitha Richarda i Micka Jaggera...

— I oto w chwili obecnej kolo się zamyka: współczesny rock (czy przy-

lepimy mu etykietę „punk” czy „new wave”, jest to bez znaczenia) wraca do źródeł, do korzeni — do szorstkiej, chropawej prostoty.

— Poezja rockowa to wielka gałąź literatury pop, a wyrasta z tego samego pnia co „On the road” Jacka Kerouaca czy wiersze poetów liverpolskich, wręcz inspirowanych się poezją The Beatles. Ogromna szkoda, że tak niewiele w Polsce wie się o stronie literackiej utworów Paula Simona czy Krisa Kristoferssona. Ich muzyka nie jest zresztą muzyką rockową sensu stricto, ale to bez znaczenia. Ważne jest, że ich teksty posiadają kojącą siłę oddziaływania, że pop — choćby w Ameryce — stał się połączym medium, którego siły nie można nie doceniać. Pismo „Rolling Stone”, założone przed kilkunastu laty przez 23-letniego naówczas Iana Wenera, po raz pierwszy połączyło w nader skuteczną fuzję rock i politykę. W 63 lat potem senator McGovern, ubiegając się o fotel prezydencki, jako pierwszy na tak szeroką skalę wykorzystywał gwiazdy rocka w kampanii wyborczej. Przegrał ją co prawda, ale stworzył precedens, wykorzystywany potem przez innych.

— Pan wydaje się przypisywać szczególne wartości formie niezbyt u nas szanowanej.

— O, nie jest chyba tak źle. Korzyeusze tekściarstwa polskiego — Osiecka, Kofta, Młynarski czy Kreczmar — to są ludzie, których teksty mogłyby śmiało figurować w wypisach szkolnych i jeśli chwilami broniły się przed uznaniem ich twórczości za czystą poezję, to chyba wina zbyt łatwo wznoszonych barier na styku pokrewnych gatunków sztuki.

Poezja przez duże „P” ma się dobrze i ani myśli kapitulować, ale gdy się zestawi liczby 800 egzemplarzy przeciętnego tomiku poezji i 150 000 — w jakim to nakładzie rozchodzi się płyta na przykład Krawczyka — to jest chyba przykład dość wymowny. Na marginesie, tym większa odpowiedzialność ciążyć powinna na ludziach, którzy decydują o repertuarze nagrywanym na owych bestsellerowych płytach, ale to już całkiem inna piosenka.

— Pana opinia o stanie zdrowia polskiego show-businessu nie jest chyba zbyt różowa?

— Istotnie, i trudno, aby była inna. Ów „szobiznes” dusi się w gąszczu często bzdurnych, często wykluczających się, a najczęściej po prostu niezyciowych przepisów. Nie chciałbym pana, ani czytelników, zanudzać szczegółami, ale wspomnę chociaż o sympatycznej rozmowie, jaką przeprowadziłem nie tak dawno z przedstawicielami firmy WIFON, zresztą skądinąd dynamicznej i przedsiębiorczej. Otóż nie ma u nas zawodu producenta, czyli człowieka, który de facto byłby w pełni odpowiedzialny za końcowy produkt nagrań. Funkcji tej nie spełnia tzw. redaktor nagrania, wyznaczony na ogół z urzędu i nie zainteresowany w żaden sposób, choćby materialnie, czy produkt finalny podbije rynek, czy okaże się knotem niegodnym anteny. Co więcej, jeśli w ruchu amatorskim zdarzy się talent — bo i tak bywa — który firma chciałaby wylansować, to skąd brać fundusze na dokształcenie muzyczne, wokalne, choreograficzne? Gwiazdy — nawet one — muszą chałturzyć, aby utrzymać nie tylko siebie, ale i zespół akompaniujący, aby zarobić na



Marek Dutkiewicz
Fot. J. Laskus

coraz kosztowniejszy sprzęt. Zespoły z kolei nie mają czasu, a wkrótce i energii, na dokonanie warsztatu, na pracę twórczą, na pracę koncepcyjną. Jako remedium widziałbym formę stypendiów, choćby ministerialnych, bądź fundowanych przez estrady, które muszą wreszcie zrozumieć, że aby wyjąć, trzeba włożyć, że bez inwestycji także i ta kura znosząca złote jajka, którą jest w tej chwili muzyka młodej generacji, otóż kura ta zdechnie i nad Polską znów na kilka-nastę lat zapanuje tępy tomol dysko-tek.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Istvan Grabowski

Gdy nie ma się z czego śmiać, rodzą się satyrycy.

St. J. Lee